№ 46. Warszawa, dnia 16 (4) Listopada 1889 r. Rok IX.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)

W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PO WYSTAWIE.

Wystawa tedy paryska została zamknięta. Jeżeli przypomnimy sobie niepokój polityczny, złowrogie przepowiednie, którym nawet Tisza nadał w sejmie ostry wyraz, ostrzegając swych ziomków; na tem tle jaskrawo zarysuje nam się duma i zadowolenie francuzów. Podczas kiedy przepowiadano w bieżącym roku wojnę, przez cały ciąg trwania wystawy utrwalał się pokój; podczas gdy minister węgierski przewidywał niebezpieczeństwo rozruchów, zagrażające osobom i rzeczom, nie zdarzył się ani jeden poważniejszy wypadek pomimo olbrzymiego napływu ludzi; podczas gdy bulanżyzm miał wszelkie pozory niszczącego wulkanu, rozpłynął się w kałużę błota; podczas gdy Rzeczpospolita wydawała się konającą, wyszła z wyborów zwycięzka i wzmocniona. A oprócz tych tryumfów wewnętrznych Francya odzyskała swój urok zewnętrzny, okazała się znowu narodem cywilizacyjnie potężnym, przodującym.

Nie lekko na szalę tych korzyści pada również jej zarobek materyalny. Ścisłego rachunku dotąd brak, ale przybliżony daje już niejakie pojęcie o tej olbrzymiej sumie pieniędzy, która wpłynęła do Paryża i Francyi. Pomińmy Paryż, który na samych gościach z prowincyi (jeśli odwiedziło wystawę 5 mil. a każdy zostawił tylko 100 fr.) zyskał około pół miliarda franków, a zastanówmy się nad dochodem całego kraju. Z Anglii przybyło 380,000 osób, z Belgii 225,000, z Niemiec 160,000, z Ameryki północnej 90,000, z Hiszpanii 56,000, ze Szwajcaryi 52,000, z Austryi 32,000, z Ameryki południowej 25,000, z Afryki 12,000, z Rosyi 7,000 — i tak dalej — razem około $1\frac{1}{4}$ miliona. Jeżeli na jednostkę w tej masie przypadło tylko 500 fr., to suma dała 750 milionów fr.

A teraz rozpatrzmy pozycye szczegółowe. Zbyt towarów na wystawie był bardzo ożywiony. Niektóre przedmioty — jak objaśniał napis — sprzedano 98 razy, to znaczy, że tyle u fabrykanta zamówiono podobnych. Panorama Gerveya miała dochodu 250,000 fr., przedsiębiorstwo ulicy Kairu, gdzie odbywały się słynne tańce — 400,000; wieża Eiffla — $6\frac{1}{2}$ miliona, kolej żelazna Decauville'a — $1\frac{1}{2}$ miliona; Towarzystwo omnibusów— 54 milionów. Niepodobna obliczyć fiakrów, restauracyj i najrozmaitszych zakładów, gdzie także utonęły miliony. Wiadomo tylko ze statystyki, że w okresie wystawy na targi Paryża dostarczano *dziennie*: 967,500 kilogramów chleba, 102,708 — wołowiny, 121,532 — cielęciny, 97,629—baraniny, 69,087 — wieprzowiny, 12,252 innych gatunków mięsa (koni, osłów itp.), 209,263—zwierzyny i drobiu, 625,272 sztuk jaj, 92,573 kil. owoców, 1,200,632— jarzyn, 79,180 — masła. A co przytem wypito — mówi *Fr. Z.* — nikt nie zgadnie.

Naturalnie koleje żelazne miały również olbrzymie dochody. Droga północna przewiozła do Paryża w ciągu 6 miesięcy wystawowych około miliona osób. Wschodnia, oprócz zwykłego ruchu, wysłała nadto 128 pociągów nadzwyczajnych. Orleańska—takichże pociągów 164. Zachodnia wykazała 31 października o 10 milionów więcej dochodu, a z Dieppe do Paryża przewiozła 172,935 pasażerów (anglików). Co równocześnie zarabiały okręty i statki, nawet przypuszczalnie obliczyć niepodobna.

Zaledwie potrzebujemy dodawać, że koszta urządzenia wystawy szybko się pokryły z przewyżką 8 milionów fr. Zwiedziło ją $25\frac{1}{2}$ milionów osób— tj. 10 milionów więcej, niż w r. 1878.

Z wszechświatowego tedy popisu pracy, pomysłowości i geniuszu francuzi wyszli opromienieni sławą, zbogaceni materyalnie i wzmocnieni politycznie. Ich urok, który zdawał się omdlewać, odzyskał dawną siłę. Nie jest to już dziś państwo sponiewierane, zdeptane i lekceważone tak dalece, że przestano z niem liczyć się w rozstrzyganiu spraw europejskich i żartem czy poważnie skazywano na podział między przyszłych zwycięzców. Wystawa nie była turniejem wojskowym, budzącym postrach, ale aktem budzącym podziw; wykazała ona, że w tym lekkomyślnym, burzliwym, samochwalczym i próżnym narodzie spoczywają siły kolosu. Zaprosił do siebie wszystkie i zmusił je do przyznania, że mu żaden dorównać nie może.

Zapewne, losy państw i ludów nie będą w najbliższej przyszłości rozstrzygane walką na wieże, maszyny, aksamity i porcelanę. Ale też nie trzeba zapominać, że Francya jednocześnie rozwinęła do niebywałej miary swoją potęgę wojskową, a do dalszych w tym kierunku ofiar posiada nietyl-

ko chętną gotowość, lecz także wielkie i obficie teraz zasilone środki, podczas gdy jej przeciwnikom zapadają się już boki od wycieńczenia. Niemcy powiększą swą armię, zdobędą się znowu na miliony marek dla niej, ale już czują, że ten straszny wysiłek dochodzi do swego kresu, że długiego współzawodnictwa pod tym względem nie wytrzymają. Naprzeciw ich nowym korpusom Francya postawi również świeże, a postawi bez trudu, bez natężenia, bez ruiny życia ekonomicznego, bo zasoby jej bogactwa są niewyczerpane, bo mnoży je ciągle nie patryotyczna ofiarność, ale płodny geniusz. W zrozumieniu tej różnicy tkwi tragizm polityki niemieckiej, której kierownik sam czuje dreszcze, kiedy uroczyście zapewnia, że Niemcy nie boją się nikogo prócz Boga. Jeżeli zaś kiedy, to niezawodnie teraz, po wystawie, nawiedzają go złe sny i widma, które pędzą też monarchę niemieckiego do nieustannych podróży i szukania sprzymierzeńców.

Z FRANCYI.

Paryż, 10 listopada.

Rozpamiętywania wystawowe i widoki parlamentarne. — Powodzenie koloru białego. — Nowości teatralne.

Wystawa zamknięta... Paryż tak przywykł do tego nowoczesnego igrzyska, iż wiary dać nie chce tej nowinie. A jest ona bardzo świeżą, liczy bowiem dopiero dni cztery. Feta trwała okrągłe sześć miesięcy. Paryż tak wżył się w to bytowanie jarmarczno-świąteczne, że zdawało się ono być czemś zwykłem i normalnem. Podobno w wieku XX będziemy mieli znowu w Paryżu wystawę; tymczasem jesteśmy dopiero w XIX, chociaż już na jego końcu, stanowimy nawet — jak to zapewniają moraliści — *fin du siècle!* Być bardzo może, a nawet tak jest istotnie, wiadomo jednak, że nowe życie kwitnie i na ruinach.

I na ruinach wystawy zakwitnąć mają nowe pomysły: międzynarodowe jarmarki, cząstkowe popisy przemysłu i sztuki, zakwitnąć mają nawet drzewa i kwiaty, synowie Marsa nie będą już bowiem tratowali Pola, na którem rozłożyła się była niedawno wystawa jubileuszowa 1889 r. Są to jednak widoki na przyszłość, dziś zaś minęły już piękne dni Aranjuezu!

Pozostawmy atoli umarłych mogilnemu snowi i zwróćmy się do rzeczy nowszych, bieżących, choćby do polityki i parlamentaryzmu, który 12 b. m. rozpoczyna swe zwykłe posiedzenia w Pałacu Bourbonów— o tyle niezwykłe tym razem, że zbiera się nowa Izba, niedawno wybrana.

Większość przeważną mają w niej republikanie, bardzo różowo zabarwieni, a jak zapewnia p. Leon Say w swej mowie, nawet całkiem biali. Cherubinowie ci utworzyć mają nową „partyę środka,“ obawiam się jednak, że będzie ona bardzo nieliczną; świat bowiem jest mocno zepsuty, splamiony krwią i błotem, trudno więc ludziom szykować się pod przeczyste sztandary cnotliwego i bogatego mieszczaństwa, które reprezentuje szan. doradca nadworny domu Rotschildów. Mowa jego napsuła już wiele krwi radykałom z obozu republikańskiego, chociaż i ci walcząc w ściśniętych szeregach przeciwko bulanżyzmowi pod hasłem unii republikańskiej, także pobieleni zostali nie żartem, dla miłej zgody, spokoju i zachowania zdobytych dawniej pozycyj. Biali ci republikanie kokietują obecnie białych z prawicy i radziby dalej z nimi się łączyć. Poobcina się oczywiście zbyt białe lub zbyt czerwone ogony krańcowe i rządzić będzie środek. Piękne te plany i projekty wydają mi się tymczasem niewinną mrzonką, aczkolwiek niema widoków, ażeby rydwan społeczno-polityczny Rzeczypospolitej potoczył się żwawiej przy nowych woźnicach. Wszyscy bowiem radzi spoczywać na laurach i nie męczyć się zbytnio przyspieszonym biegiem. Podczas niedawnych wyborów żadna z partyj nie okazała szczególnej żywotności. Najwięcej wiatru robili bulanżyści i ci jednak nie dopięli swego. Rozmyśla nad tem właśnie Boulanger, odsiadujący pokutę na wyspie Jersey. Jeżdżą do niego na narady wierni sztabowcy, wątpię jednak, czy nakreślą jaki plan strategiczny, któryby zaprowadził ich do rychłego zwycięztwa. Tymczasem tylko nowoobrany poseł, Deroulède, prowadzić ma na Izbę swą rozwiązaną Ligę wraz z pospolitem ruszeniem bulanżystowskiem; wolno jednak wątpić o powodzeniu tej kampanii.

Panuje zresztą taki chaos i zamieszanie w obozie parlamentarno-politycznym, że nie warto sobie łamać głowy nad rozwiązywaniem szarad podobnych. Faktem jest niezaprzeczonym, że większość w Izbie mieć będą żywioły nader umiarkowane republikańskie, że może w niej dojść do skutku sojusz między republikańskim i monarchicznym oportunizmem, ten sam, o który republikanie najmocniej oskarżali bulanżystów i że żadne ze stronnictw dalej idących niema dziś dość siły, ażeby zająć jakieś stanowisko wpływowe. Pozwólmy więc panom posłom raczyć się bigosem, który sobie zgotowali.

Wiemy zresztą, że po za zgiełkliwem życiem parlamentarno-politycznem, które wielu już zniechęciło i usposobiło sceptycznie, odbywa się wciąż w samem społeczeństwie francuskiem powolna obecnie praca organizacyjna, wiążąca ściślej z sobą zsolidaryzowane jednostki i grupy. Tworzenie się tego nowego społeczeństwa wartoby rozejrzeć pilniej, praca to jednak nie głośna i nie bijąca jeszcze w oczy, przywykłe do zużytych efektów.

Zawróciwszy tedy z tego gościńca, zajdźmy do teatru Gymnase, w którym Daudet, a za nim prasa paryska odświeżył starą już dziś darwinowską walkę o byt. Bohaterem *La lutte pour la vie* jest Paweł Astier z *Immortela.*

W Ambigu znowu wystawiono z niemniejszem puwodzeniem *La Fermière*, pięcioaktowy dramat, osnuty na tle ludowem, a napisany przez pp. Armanda d'Artois i Henryka Payat.

Izba i teatr będą nas zapewne rozrywać przez zimę, ktoby zaś rozrywkę tę uważał za nudną, mało zajmującą i znaną, ten może poszukać sobie żywszego zajęcia w filozofii, sztuce, głębszych sądowaniach społecznych lub w życiu samem, które na szczęście więcej jest jeszcze zajmującem, niż niektóre jego objawy.

Parisis.

ONA i ON.

ON.

I.

Jan ułożył się do poobiedniej drzemki.

Dzień dzisiejszy zmęczył go. Miał dużo pracy. Bronił w sądzie człowieka, którego wina była niezaprzeczalna, którego postępkami jednak musiała kierować więcej chora wyobraźnia, aniżeli instynkt, kuszący do złego i łamanie praw społecznej moralności przez bunt i nienawiść ku nim wrodzoną.

Podsądny płakał. Łkanie przerywało mu piersi i tłumiło mowę, ilekroć prezes sądu zarzucał go pytaniami.

Przyjaciel obwinionego przemawiał za nim gorąco. Żona jego, chora z rozpaczy, nie stawiła się w sądzie.

Jan widział ją wczoraj i mimowoli przypominał sobie rozmowę z nią. Paliły go jeszcze na rękach łzy jej gorące, z któremi zaklinała go, by ratował jej męża...

Musiała go kochać...

Zasypiając, Jan myślał o tej miłości, której nie wyrwało z serca piętno hańby, ciążące na ukochanym...

Jan spał długo. Kancelarya już pełna była klientów, gdy służący przyszedł go zbudzić.

Przetarł oczy i wstał leniwie. Czuł ciężar w całem ciele, który mu dusił piersi i uciskał głowę.

Dawno już nie obudził się w podobnym stanie.

Nie miał ochoty spojrzeć w okno. Zdawało mu się, że na ulicy musi być bardzo ciemno. Mózg jego tłoczyły ponure, przykre myśli, przed któremi się otrząsał, jak przed zapowiedzią czegoś złego.

Dzień dzisiejszy podobny był zupełnie do jednego dnia zimowego, którego nie zapomni nigdy w życiu, choć radby go wypalić żarzewiem z pamięci.

Śnieg bił o szyby drobnymi, zbitymi płatkami. Wiatr musiał wirować w polu, za miastem, zrywając tu i owdzie suche, czarne gałęzie sterczących nagich trzonów drzew.

Zapalił cygaro, poprawił ręką włosy machinalnie i wszedł do gabinetu, gdzie już czekał pierwszy klient.

Dwugodzinne posiedzenie w domu zmęczyło go ostatecznie. Nie był już w stanie przyjąć dwóch żydów, którzy przyszli na końcu: naznaczył im widzenie nazajutrz. Zamknął kasę, schował klucze, polecił dependentowi uporządkowanie akt, kazał służącemu pootwierać okna i przewietrzyć mieszkanie, wziął na siebie futro i wyszedł.

Z głównego rynku miasteczka mała boczna uliczka prowadziła w stronę ku plantowi drogi żelaznej.

Skręcił w tym kierunku. Przez furtkę kolejowego ogródka dostał się na szeroki plac, poprzecinany siecią linii, zastawionych wagonami.

Dotarłszy do miejsca, w którem linie zbiegały się w dwa równoległe tory, przeszedł przez nie, minął wązki rowek z boku skarpy, wskoczył na dość wysoki nasyp, tworzący rodzaj wału po obu stronach szyn i wązką ścieżką, wydeptaną w śniegu przez dróżników, dążył wprost przed siebie.

Mroźny wiatr orzeźwił go trochę. Ruchy jego stały się elastyczniejsze. Podniósł głowę do góry i bystrzej, aniżeli przed chwilą, patrzył na ścieżkę, skręcającą łukowo ku chatce najbliższego dróżnika.

Zaciągał się powietrzem. Oddychał głęboko otwartemi ustami, jak gdyby chciał wyrzucić z siebie cały zapas dymu cygar i papierosów, którego się nałykał tyle w kancelaryi.

Drobne, zlodowaciałe igły śniegu padały mu na kołnierz futrzany, obsypywały brodę i wąsy, zamarzając na nich soplami.

Szedł wolnym, miarowym, giętkim krokiem.

Skargi klientów, twarde argumenty prokuratora, wykazy hipoteczne, wszystko, czego się nasłuchał i napatrzył od rana, błądziło mu po głowie.

Nad twarzami, które spotykał w ciągu paru minionych dni, a które co chwila przebiegały mu w pamięci, szczególnie uporczywie unosiły się dwie smutne, zalzawione. twarz skazanego na pozbawienie

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Jest to rzeczywiście bardzo dziwnem, że ludziom, bądź co bądź, rozumnym, jakimi są prezesowie gabinetów ministeryalnych, nie sprzykrzy się ta jednostajna, mdła, nieszczera a w każdym razie zabijająco nudna gadanina, która ma służyć za objaśnienie stosunków międzynarodowych. Ciągle jedno i to samo: nadzieja utrzymania pokoju wzrosła, widnokrąg się wypogodził, niedawno istniejąca obawa znikła — możemy więc bez troski zająć się... przygotowaniami do wojny. Jak można tyle razy powtarzać te oklepane komunały, z których przytem wylazi widoczny fałsz? A jednakże lord Salisbury, który już tyle razy ową niedorzeczność wypowiedział, zatrudnił nią usta swoje znowu na uczcie u nowego lorda majora Londynu. Dla urozmaicenia jej dał życzliwą radę kapitałowi i pracy, wilkowi i owcy, ażeby żyły ze sobą życzliwie, czego one z pewnością usłuchają. Może największą, chociaż tylko ujemną wartość miało oświadczenie szanownego lorda, że polityki względem Irlandyi zmieniać nie myśli. Po tem wyznaniu przynajmniej stosunek się wyjaśnił a irlandczycy wiedzą, czego się mają spodziewać od „bratniego“ narodu.

Cesarz niemiecki z Konstantynopola pojechał do Włoch a stamtąd do Insbruku, gdzie spotka się znowu z monarchą austryackim. Spotkanie to ma tak widocznie cel polityczny, że dziwić się należy odwadze najmitów dziennikarskich, którzy je tłomaczą potrzebą wylewu serdeczności. Niestety, przelatujący w rozmaite strony jak gołąb pocztowy hr. H. Bismark, który z Konstantynopola pofrunął do Pesztu, Wiednia, Berlina, Friedrichsruhe i znowu skręcił do Insbruku — w dziwny sposób ilustruje tę „serdeczność.“ Kiedy zaś ona i z jakich przyczyn objawiła się między starcem i młodzieńcem — tego psychologia miłości niemiecko-austryackiej nie tłomaczy.

Sejm niemiecki odesłał ustawę przeciwko socyalistom do komisyi parlamentarnej, która ją zbada i swój sąd przedstawi ogólnemu zgromadzeniu. Jest to wszakże tylko komedya, do której nie wiadomo po co przyłożyły rękę stronnictwa opozycyjne. Bo pomimo, że narodowo-liberalni postawili w komisyi szereg wniosków, zmieniających projekt rządowy, nikt nie wątpi, że oni wszędzie ustąpią tam, gdzie kanclerz wolę swą wyrazi stanowczo. Od nich zaś zależy los tego i każdego prawa. Posłuszna Bismarkowi większość, pozwalająca z góry przewidzieć wynik wszelkich obrad, do takiego stopnia zobojętniła zajęcie się niemi, że rzadko którego dnia sejm posiada minimum liczby posłów potrzebne dla prawomocności uchwał. Najświetniejszych mów nikt nie słucha, bo wie, że one na głosowanie nie wpłyną. Zanim projekt wejdzie do Izby, już jest zdecydowany. I dla kogo odgrywa się ta farsa, zwana parlamentaryzmem?

W dniu zebrania się Izb, bulanżyści zamierzali urządzić awanturę, ale skończyło się na pogróżkach. Może ochotników skandalu było za mało, a może stróżów bezpieczeństwa publicznego za dużo.

Prezes gabinetu greckiego, Trikupis, wystąpił z bardzo energiczną mową przeciw Turcyi i zapowiedział, że jego rząd prędzej czy później będzie musiał stanąć w obronie Kandyi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

TYTUS CHAŁUBIŃSKI.

I.

Długo dzieci chłopa afrykańskiego bawiły się błyszczącym kamykiem, zanim go spostrzegł i—sądząc, że jest jednym z tych, o których Biblia wspomina — zapragnął wziąć pewien handlarz. Ojciec malców podarował mu „chętnie bezwartościowy krzemień.“ Handlarz zrysował kryształem szybę, ale towarzysze wyśmieli jego przypuszczenia. Wtedy on udał się do miasta, przedstawił kamyk uczonym profesorom, którzy go uznali za dyament 22 karatowy. Im dalej wędrował klejnot, tem większą zyskiwał cenę, aż wreszcie na rynku europejskim doszedł do olbrzymiej.

Nie był Chałubiński śród nas błyszczącym kamykiem w rękach dzieci; nie uważaliśmy go za zwyczajny krzemień; ale to pewna, że nie miał u nas tej wartości, którą by osiągnął w wielkich ogniskach życia europejskiego. Może by wtedy i sam ten dyament zyskał na oszlifowaniu w warunkach, które by mu nadały postać jeszcze wspanialszą, ale i my, patrząc nań zdaleka, łatwiej ocenilibyśmy jego światło i rozmiary. Bo wielcy ludzie są jak wielkie góry: kto do ich szczytów na orlich skrzydłach wznieść się nie może, widzi ich całkowicie tylko zoddali.

A był to istotnie umysł wyjątkowej siły i rozległości — jakościowo bardzo oryginalny, ilościowo tak wielostronny, że możnaby go porównać jedynie z bardzo nielicznymi w dziejach wiedzy. Niekażdy człowiek z równą słusznością może o sobie powiedzieć, że jest odrębnym światem, bo są głowy utoczone według wspólnego wzoru i mieszczące się mniejsze w większych, jak jajka chińskie, i są inne, mające krój własny. Taką odmienną posiadał Chałubiński. Nawet znających różnorodność sądów ludzkich i bieg jego myśli zadziwiał on co chwila jakąś swoistością duchową. Czyś go zapytał o istotę poezyi, czy o strawność białka, zawsze usłyszałeś odpowiedź niespodziewaną. W jego prześlicznie sklepionem czole, przypominającem Humboldtowskie, pracowała jakaś potężna siła oryginalności pojmowania i tłomaczenia wszystkiego, ku czemu ją skierował. Olśniewała zaś ona tem bardziej, że nią ogarniał niemal cały obszar wiedzy.

Był naprzód lekarzem genialnym. Znaczna część lekarzy podobna jest do księży: uważają się oni za kapłanów i odmawiają niepoświęconym prawa sądzenia o nauce i sztuce członków swego zawodu. Pomimo to ludzie ukształceni o jednych i drugich sądzą, a stosują miarę może najsprawiedliwszą, bo wyprowadzoną z rezultatów. Otóż Chałubiński osiągał takie, że w przekonaniu ogółu uchodził za wszechmocnego. Biegły do niego tłumy z wiarą i nadzieją, że je swem słowem natychmiast uzdrowi. Nie obawiano się śmierci tam, gdzie on stanął przy łożu chorego, chociaż już żadna moc ludzka odegnać jej nie mogła. Była ta wiara całkiem naturalną. Wzywany głównie na ratunek w wypadkach trudnych lub rozpaczliwych, pomyślnymi skutkami swego leczenia zdumiewał i odurzał. Nie jest to ani przesadą, ani przenośnią, że konającym przywracał życie, a umarłych wskrzeszał. Widziałem go nieraz pokonywającego cho-

---

praw młodego przestępcy, którego dziś bronił, i jego żony, która wczoraj na klęczkach i głośnem łkaniem tłomaczyła przed nim zbrodniczy poryw męża, powtarzając bez końca: „on był zawsze dobry, zawsze szlachetny: ja nie wiem, co mu się stało!..“

Ci ludzie się kochają: ona za nim pójdzie w świat daleki, na wygnanie; znajomi o nich zapomną, mroźna północ zatrze ślady ich istnienia, ale oni — może nie przestaną się kochać i zawsze będą razem...

Podnosił rękę do czoła i tarł je mocno palcami, jak gdyby chcąc rozpędzić myśli, które niepotrzebnie plątały mu się po głowie.

Wolnym, równym krokiem, doszedł do czerwonej budki dróżnika, stanowiącej zwykły kres jego przechadzek.

W lecie siadywał tu długo na ławce, przed domkiem; zimą — zawraca bez zatrzymywania się.

Dziś — zdjęła go chęć chwilowego odpoczynku. Ruch, powietrze, to, co go na razie orzeźwiło, teraz zaczynało go męczyć po trosze.

Uczuwał niechęć do wszelkiej czynności. Byłby z radością zanurzył się pod wielki kopiec śniegowy, usypany koło domku, zapewne przez dzieci dróżnika, aby w nim zasnąć i skrzepić chłodem białych płatków krew, pulsującą zbyt szybko, szumiącą w uszach, hałasującą w skroniach.

Musiał mieć trochę gorączki ze znużenia całodziennego.

Paliły go policzki i ręce pomimo mrozu w powietrzu.

Usiadł na samym brzegu ławki, odetchnął ciężko i bezmyślnie kreślił końcem kija w śniegu szereg półkoli, łuków, trójkątów, kwadratów.

W tem — z sąsiedniej wiorsty podano sygnał. Zahuczało w dali. Ziemia zadrżała lekko. Na śnieg w rowie obok szyn posypały się setki iskier. W mroku zapadającej nocy błysnęły jaskrawe, wielkie oczy parowozu.

Jan zerwał się z ławki.

Coś go ciągnęło do tych dwóch jarzących świateł.

Zbiegł z wału. Przeskoczył rów szybko. Już dotykał prawie szyn stopami, kiedy usłyszał tuż za sobą najpierw sygnał trąbki, podawany na następną wiorstę, a potem — głośny wykrzyknik dróżnika: „na bok!..“

Odskoczył i, nie obejrzawszy się, aby nie być poznanym, zawrócił szybko.

Nogi pod nim drżały. Trząsł się, jak w febrze.

Rozpiął futro: był cały spocony.

W uszach mu huczało warczenie kół wagonów i parowozu.

„Co mi się stało? Co chciałem zrobić? Jaka siła mię tam parła?“ — pytał sam siebie i nie umiał znaleźć odpowiedzi.

Nieraz w chwilach zgryzoty lub umysłowego utrudzenia myślał sobie: „jak dobrze byłoby umrzeć!..“

Coś go kusiło. Coś podsuwało mu rewolwer i radziło wsunąć sobie kulkę w skroń.

Zrywał się wówczas i, jeżeli to było w dzień, wychodził na miasto, jeżeli wieczorem, biegł do znajomych na winta dla rozpędzenia niepotrzebnych myśli.

Bał się skandalu, plotek, reporterskich doniesień, zbiegowiska nad swoim trupem. Nie umiał sobie powiedzieć: „po śmierci wszystko mi jedno!..“

Co mu się dziś stało?

Sam nie wiedział. Nie był w stanie zdać sobie sprawy.

Życie ciąży mu już strasznie, kiedy nawet bez udziału świadomości dąży do zerwania jego pęt.

Odbiegłszy znaczną przestrzeń od budki, zaczął iść wolniej pod wiatr, który wiał od pól i zamarzniętej w pobliżu toru kolejowego rzeki.

Ochłonął już z pierwszych silnych wrażeń. Uczuł chłód. Zapiął futro mocno pod szyję, podniósł kołnierz i nasunął na uszy czapkę, którą pęd powietrza zrywał mu ciągle z głowy.

Myśli jego wirowały wciąż około przebytej niedawno chwili, ale już spokojniej, jaśniej, trzeźwiej...

(D. n.).

Cecylia Walewska.

robę, którą inni uznali za śmiertelną. Żyje dotąd moje dziecko, do którego on przybył wtedy, kiedy uważaliśmy je za umarłe i kiedy je zaczęto ubierać do trumny. A ilu takich wskrzeszonych przez niego stanęłoby ze świadectwami „cudu“? Co krok spotykasz kogoś, kto mu zawdzięcza życie.

Obok tych widocznych i zdumiewających swą nadzwyczajnością tryumfów wiedzy uderzała wszystkich zagadka jego metody i środków. Czem on leczył — nieraz trudno było oznaczyć. Ludziom też, przyzwyczajonym do długich recept, flaszek, pudełek i słoików aptecznych, czarodziejem musiał wydawać się człowiek, który zażegnywał ciężkie choroby jakimś prostym środkiem, odwarem zwyczajnego ziela, posiłkiem, głodem lub tylko... ukazaniem się. Rzeczywiście miał on w sobie coś z wielkiego znachora, jakąś genialną intuicyę, której żadna nauka zastąpić nie może. Przed kilku laty prosiłem go o zbadanie jednego z moich przyjaciół, który daremnie szukał rady u najznakomitszych doktorów europejskich.

— On *musi* mieć gdzieś ukryty nowotwór — rzekł do mnie Chałubiński. Gdybyś mnie zapytał, czemu to twierdzę, *nie umiałbym* się wytłomaczyć. Ale takie robi na mnie *wrażenie*.

Nikt nie podzielił tej dyagnozy, dopiero po dwu latach, gdy choremu na zewnątrz wydobył się — rak.

Ludzi genialnych odznacza to, że w ich umyśle, oprócz procesów świadomych, odbywa się mnóstwo bezwiednych, które ujawniają się ostatecznym wynikiem — jako nagły błysk i natchnienie. Nie oślepia nas największy ogień powoli z iskry rozdmuchany, ale oślepia błyskawica. Z tych niespodziewanych a świetnych pomysłów Chałubińskiego spływał jego urok, któremu poddawali się nawet lekarze. Kto z nas nie przysłuchiwał się ich przedwstępnej naradzie, gwarnej, sprzecznościami potarganej... Tymczasem wszedł Chałubiński, zbadał chorego i najrozmaitsze zdania przyciągnął swojem, jak opiłki magnesem. Jedni ulegali powadze, drudzy — przekonywającemu rozumowaniu, ale wielu — czarowi. To też gdy złamany niemocą opuścił Warszawę i osiadł w Zakopanem, rzekł do mnie jeden ze znakomitszych lekarzy warszawskich:

— Ubył nam regulator... Był on na konsyliach tem, czem jest zegar wieżowy, według którego wszyscy regulują swoje zegarki... Dziś każdy wskazuje inną godzinę...

Oprócz gruntownej nauki medycznej, rozległego doświadczenia i wyjątkowej bystrości umysłu, w jego tryumfach przyjęła bardzo czynny udział niezwykła wiedza przyrodnicza. Był to w najwyższym stopniu i najlepszem tego słowa znaczeniu lekarz przyrodnik. Jak sam mawiał—starał się tylko pomagać naturze. A on ją znał, przenikał, instynktowo odczuwał znakomicie. Raz siedzę przy chorym, który jedząc bulion, mówi do mnie:

— Ach, gdybyś mi wsypał całą solniczkę...

W tej chwili wchodzi lokaj z listem od Chałubińskiego, który pisze: „Będąc rano, zapomniałem wam powiedzieć, ażebyście choremu dawali dużo soli.“

Takich przykładów zgody jego zaleceń z naturalnemi pragnieniami możnaby przytoczyć więcej, niż potrzeba dla usprawiedliwienia tych zdumień, któremi wszystkich przejmował.

Ta znajomość natury nie była u niego splotem szczęśliwych domysłów, ale owocem poważnych i długoletnich studyów. Na uniwersytecie poświęca się Chałubiński z początku naukom przyrodniczym. Zostawszy lekarzem, obok medycyny, zajmuje się botaniką. Potem przechodzi w okres chemii. Następnie rzuca się do mineralogii, a rzuca się z tym zapałem, który nie gasł nigdy w jego duszy. Objeżdża całą Europę za rzadkimi okazami, zawiązuje odpowiednie stosunki, przebywa w kopalniach i ostatecznie gromadzi bogaty zbiór kryształów, w którym posiada nawet unikaty. O jego energii w tych zabiegach da nam wyobrażenie szczegół, że Chałubiński sześć razy jeździł do Wiednia dla wydobycia od pewnego radcy ministeryalnego pięknej bryłki *letsomitu*.

— Na moje szczęście—opowiadał on żartobliwie — spadł koło Konina meteor, którego odłamki zawiozłem owemu radcy i zjednawszy sobie naprzód jego kucharkę, dostałem się wreszcie do zamkniętego w swym gabinecie dziwaka. Ile wymowy i podstępów musiałem użyć, zanim wyłudziłem od niego ten kamień! Mineralogia okropnie mnie zdemoralizowała.

W związku z nią studyował geologię, a w ostatniej dobie życia wrócił znowu do botaniki i przez wiele lat oddał się badaniu mchów tatrzańskich, które opisał po... łacinie.

To nie przeszkadzało mu kształcić się w innych naukach i rozważać zagadnień społecznych. Przeczytał dzieła wszystkich znakomitych dziejopisów, znał wielkie systemy filozofii i ekonomiki oraz arcydzieła literatury pięknej. Rozprawiał z taką znajomością rzeczy o wędrówce ludów lub przyczynach upadku Rzymu, o Spinozie lub Kancie, o Słowackim lub Polu, jak gdyby to były główne i stałe przedmioty jego myśli. Raz leżąc na wierzchu jednej z gór tatrzańskich podczas odpoczynku w wycieczce, wypowiedział mi szereg swoich uwag o Zygmuncie Krasińskim, którego leczył, uwag, nietylko nadzwyczajnie oryginalnych, ale popieranych obszernemi cytatami z pamięci. Gdy zaś zbliżył się do niego przechodzący góral, zaczął z nim mówić o zbożu norwegskiem, które prawdopodobnie uda się na glebie zakopiańskiej, o statucie kasy gminnej i wyrobach snycerskich. Nazajutrz rozważywał ważne dla Zakopanego zagadnienie ekonomiczne:

— Te urwisy a moi przyjaciele — rozumował — potrzebują corocznie kupić tyle korcy żyta. Jeżeli więc założymy szkołę koronkarską, do której uczęszczać będzie 200 dziewczyn a każda zarobi 10 centów dziennie — zbiorą sobie potrzebny fundusz na żyto.

Kiedyindziej znowu prawił:

— Taine jest znakomitym pisarzem, ale odmalował Rewolucyę farbami z raportów policyjnych. Pełny i pięknie nakreślony obraz tej epoki dał—śmiejcie się ze mnie— Mignet.

Wyjechawszy (już jako profesor Szkoły Głównej) za granicę, z taką pilnością zwiedzał galerye sztuk pięknych, że — jak sam wspominał z humorem — strażnicy sal podejrzywali go o chęć przywłaszczenia sobie obrazów. Tam poznał wszelkie szkoły malarskie, wytworzył sobie sąd własny o ich mistrzach i zdobył szeroką erudycyę artystyczną.

Padarewski, który go kochał i podziwiał, który mu całemi godzinami grywał, najlepiej wie, jak Chałubiński głęboko odczuwał i rozumiał muzykę. Stanowiła ona dla niego codzienną i niezbędną przyjemność. Jeszcze dalekie były wawrzyny od Padarewskiego, kiedy on już mu świetną przyszłość przepowiedział. To też czytając o jego powodzeniach w Belgii i Francyi, mówił do mnie w Zakopanem przed dwoma miesiącami z wzruszeniem czułego ojca:

— A co, nie zawiódł nas pan Ignacy! Jakżebym go chciał teraz słyszeć.

Usłyszał go na dwa tygodnie przed śmiercią, gdyż Padarewski umyślnie do niego pojechał.

Czy ta rozległa skala umysłu, którą zaledwie ogólnymi rysami zaznaczyłem, nie jest zdumiewającą?*).

Zarzucano Chałubińskiemu naprzód cicho, a potem, gdy z omdlewającej jego ręki wysuwało się berło, coraz głośniej, że nie „szedł z postępem nauki“ i lekceważył „ostatnie jej zdobycze.“ Pomijając to, że ów „postęp“ i „ostatnie zdobycze nauki“ są często połyskliwym a pustym frazesem, mającym wartość mody, że wiedza nie robi codzień wielkich kroków a pozorne jej ruchy naprzód są nieraz nowem kręceniem się na tem samem miejscu, zarzut taki mógł wyjść tylko z ust ludzi, którzy nie pojmują natury umysłów potężnych. Umysły tego rodzaju nie lecą za rydwanem pierwszego lepszego reformatora, nie polykają pierwszej lepszej teoryjki dla tego, że świeża, lecz objawiają pewną nieruchomość i zaufanie we własne siły. Wielki wódz, który przywykł sam zwyciężać, nie usłucha nawet mądrej rady podoficera. Nikt nie rozstanie się z wiarą w siebie, kto tylko raz wielką moc swoją uczuł. Wybornie też Lessing określa ten stosunek olbrzymów do mędrkującego nad nim chóru: „Geniuszowi—mówi on—wolno nie wiedzieć o tysiącu rzeczach, o których wie każdy żak; nie nabyty bowiem zapas pamięci stanowi jego bogactwo, ale to, co z siebie, z własnego swego uczucia wydobył. Często stajemy zdumieni i załamując ręce wołamy: „Jakżeż mógł tego nie wiedzieć tak wielki człowiek! Czy podobna, ażeby o tem nie pomyślał, tego nie rozważył?“ Ach, umilknijmy; chcemy go upokorzyć, a tylko ośmieszamy w jego oczach siebie. Wszystko, co lepiej wiemy, niż on, przekonywa jedynie, że pilniej od niego uczęszczaliśmy do szkoły. I niestety było to dla nas koniecznem, jeżeli nie chcieliśmy zostać głupcami.“

Tak, można być genialnym matematykiem, nie umiejąc tabliczki mnożenia lub nie znając nowego sposobu utrwalania jej w pamięci. Podobnież można być genialnym lekarzem, nie wiedząc o „ostatnich zdobyczach nauki.“ Przeczytanie najświeższej książki nie stanowi jeszcze mądrości i nie nadaje umysłowi potęgi. „Śledzić“ za cudzym pochodem, chwytać na świeżo „najnowsze wyniki wiedzy,“ być małą rybką płynącą w gromadzie za wielkiemi— to nie jest ani zadaniem, ani zwyczajem ludzi tej miary i natury, co Chałubiński. Trzeba zaś ludzi tych brać takimi, jakimi oni są i być mogą.

(D. c. n.).

Z NAD DUNAJU.

Wykłady uniwersyteckie.— Lekcye Kraft-Ebinga.— Zbawienie robotników według Elbogena.

Na wszechnicy wiedeńskiej rozpoczęło wykłady kilku nowych profesorów i docentów. August Miaskowski, powołany na katedrę ekonomii politycznej, opróżnioną po Brentanie, w wykładzie wstępnym nie powiedział nic nowego lub bardziej zajmującego. Chrobak, któremu powierzono kierownictwo kliniki ginekologicznej po śmierci

*) Uzupełnię ją jeszcze drobnym, ale znamiennym szczegółem. Chałubiński pijał bardzo mało — stosunkowo najchętniej jednak wino francuskie. Raz dostawszy dla niego kilka butelek czystego *Frontignarda* (o którym dotąd nie słyszałem), nalewam kieliszek i proszę, aby zgadł nazwę. Dotknął ustami, posmakował i rzekł: „Kiedy przed *dwudziestu* laty byłem na południu Francyi, piłem podobne wino, które się nazywało Frontignard.“ Dwadzieścia lat pamiętać nikłe wrażenie smaku — jest to objaw dziwnej wrażliwości nerwowej. Człowiek ten mógł być nawet kiperem. Kiedyindziej bowiem oznaczył z wielkiem przybliżeniem w datach wiek kilku starych wódek, a sam opowiadał wesoło, że gdy przy objedzie u pewnego mineraloga węgierskiego zauważył w podanem winie „zapach kwiatów styryjskich,“ obecny fabrykant tego wina, który je dopiero zaczął wyrabiać w Styryi, przysłał mu nazajutrz baryłkę z listem wyrażającym zdumienie nad takiem „znawstwem“ i prośbę o przyjęcie podarku.

Breisky'ego, obszernie rozwodził się nad zagadnieniami społecznemi, mającemi doniosłość zasadniczą dla psychicznego i fizycznego życia kobiet. Stwierdził ze swego stanowiska, że ruch emancypacyjny wśród kobiet stanowczo szkodliwym jest rozwojowi rodziny; pragnąłby, aby przynajmniej pewne zawody nigdy dla kobiet się nie otworzyły; o ile bowiem praca odpowiednia i w miarę pełniona utrzymuje zdrowie, o tyle pochłaniająca siły umysłowe i fizyczne jest niebezpieczna dla kobiet, które pragną być matkami.

Powszechne zajęcie obudziła wstępna prelekcya profesora Kraft-Ebinga, który po zmarłym Leidesdorfie objął klinikę psychiatryczną. Naszkicował on w swym wykładzie historyę psychiatryi, która od niedawna stosunkowo zajmuje miejsce nauki równorzędnej z innemi gałęziami medycyny. Traktowanie umysłowo chorych jeszcze do końca zeszłego stulecia było okrutnem. W Austryi zdjęto im łańcuchy dopiero w r. 1838, a klinika psychiatryczna w Wiedniu istnieje zaledwie od r. 1870. Pouczające były wywody Krafft-Ebinga o przebiegu chorób umysłowych u osób z niższych a wyższych warstw społecznych. Podczas gdy z liczby pierwszych 56% odzyskuje przeciętnie zdrowie, z drugich zaledwie 16%. Powodem tego zjawiska jest okoliczność, że pacyenci zamożniejsi przecierpieć zazwyczaj muszą szereg doświadczeń lekarskich, zanim zostanie do nich zastosowane dobrodziejstwo normalnej terapii psychiatrycznej.

Koła literacko-artystyczne i płeć piękną bardziej interesują się wykładami d-ra Bergera, dotychczasowego sekretarza Burgteatru a mianowanego następcą d-ra Förstera, dyrektora sceny nadwornej. Berger ogłosił, jako docent wszechcnicy, szereg prelekcyj o technice i estetyce dramatu, opartych przeważnie na materyale znajdującym się w rękach dyrekcyi Burgteatru. Sądząc z dwóch pierwszych, będą to istotnie wykłady ciekawe. Pomówimy o nich obszerniej w liście następnym. Dziś chcielibyśmy jeszcze zapoznać czytelników *Prawdy* z treścią nowej publikacyi d-ra Elbogena, zajmującego się sprawą klas pracujących w sposób naukowy i praktyczny. Ogłasza on „studya społeczne" pod tytułem „Die Erlösung." „Zbawienie" o jakiem autor myśli, opiera się na dwóch zadaniach: na pokonywaniu antysemityzmu jako ruchu wiodącego ku bezdrożom klasy wyzyskiwanej przez kapitał, i na prawodawczem unormowaniu pewnej minimalnej płacy dla robotników. Oto główna treść jego teoryi, której bynajmniej za „zbawczą" uważać nie możeby. Wychodząc z twierdzenia J. R. Mayera, iż praca dokonywana przez organizm zwierzęcy odpowiada pewnej ilości jednostek ciepła, lub pewnemu ciężarowi materyałów użytych do budowy organizmu, żąda Elbogen od fizyologii, by oznaczyła ilość żywności, potrzebnej dla robotników w każdym zawodzie. Płacę niezbędną dla zrównoważenia wydatku siły, Elbogen zwie „das exacte Existenz-Minimum," rozwijając ulubione pojęcie Lassala, i żąda od ciał ustawodawczych, aby ją zabezpieczono robotnikowi. Ma to być pierwszym krokiem na drodze reform społecznych. Jak bardzo teorya ta kuleje, wykazał już sam autor, proponując, by ową płacę minimalną uzupełniono dodatkami na mieszkanie i odzież. Lecz co się stanie z rodziną, którą robotnicy muszą wyżywić? I w ilu wypadkach setki ich padłyby ofiarą chciwości fabrykanta, któryby się oparł na ustawie, płacąc im wyłącznie owe minimum! Owe minimum Lassala, elastyczne, nieoznaczone dokładnie, miało na celu unormowanie znośnego „Standard of Life" dla robotników; atoli minimum Elbogena wytworzyłoby straszliwy jakiś „Standart of Death." Mimo to, warto przeczytać to studyum napisane z ciepłem niemalem i z niezwykłem uzdolnieniem stylistycznem. *Stwosz.*

BADANIA NAUKOWE.

TEORYA KRYMINALNA LOMBROSA.

II. Zbrodniarz z namiętności i obłąkaniec.

Przestępca z namiętności w przeciwstawieniu do przypadkowego posiada wyraziste rysy duchowe. Zresztą spotykamy go rzadko w świecie zbrodni. Dane statystyczne, zaczerpnięte ze Szwajcaryi i Prus, dowodzą, że liczba zbrodniarzy z uniesienia tak się ma do spełniających występek z namysłu, jak 1 do 27. Sam zaś Lombroso przyjmuje, że na tę kategoryę kryminalistów przypada nie więcej nad 5—6% całego ogółu. Zwykle jakaś jedna gwałtowna namiętność, często nawet bardzo podniosłej natury, panuje nad całem jestestwem zbrodniarza z namiętności. Szlachetność duszy bywa czasami posunięta bardzo daleko. Dość przytoczyć sławną Karolinę Corday. Zbrodnię popełnia się w młodym wieku, kiedy namiętności wybuchają z największą gwałtownością. Twarz w większości wypadków nie zdradza żadnego pokrewieństwa z typem zbrodniarza urodzonego i odznacza się często prawidłowością rysów. Przy nadwrażliwości uczuciowo-emocyonalnej mówią oni: „Nic mogę być spokojny. Pali mnie w skroniach, serce bije i ledwie nie wyskoczy, sucho mi w gardle i mętnie w oku. Jak obłąkany biegam po pokoju, wołając: na pomoc! Usiłuję pisać, lecz bez powodzenia." Temi słowami Vallesa (opowiadania z rokoszu Komuny) badacz włoski charakteryzuje nadwrażliwość uczuciową u zbrodniarza z namiętności. Z powyższą właściwością duchową idzie w parze inna — chwilowy upadek energii aż do zupełnego stępienia. Następuje to właśnie każdorazowo po gwałtownym wybuchu uniesienia, kiedy dokonaną została zbrodnia. Wielu też przestępców kończy natychmiast samobójstwem. I sama zbrodnia nosi na sobie odpowiednie piętno. Popełnia się ją otwarcie, czasami nawet w publicznem miejscu, np. na ulicy wśród licznych świadków. Morderca uderza ofiarę raz jeden i nie pastwi się nad nią. Dokonawszy czynu, sam oddaje się w ręce odpowiednich władz, przy śledztwie nie wyszukuje okoliczności łagodzących i raczej oskarża siebie ciężej, aniżeli inni to czynią. Źródło uniesienia jest bardzo różnorodne: nagły a silny gniew, zawiedziona ufność, wstyd, miłość przeważnie z silnym odcieniem platonizmu, wówczas kiedy zupełnie zbywa na chciwości; chuci zmysłowej, tak częstych u zbrodniarzów urodzonych. Wśród przestępców z namiętności znajdujemy wielu zabójców politycznych, dzieciobójczynie, niektórych wreszcie samobójców. Lombroso podaje niewielką statystykę przyczyn, które wywołały zbrodnię z namiętności. Otóż z pośród 60 zbadanych przezeń przypadków największa liczba, bo aż 18, odchodzi na zawiedzioną miłość lub zazdrość, po 3 z powodu obrazy honoru, wskutek przywiązania synowskiego lub miłości ku ojczyźnie; zemsta, przywiązanie rodzinne itd. odgrywają już mniejszą rolę. Tymczasem brudniejsze namiętności nie mogą się poszczycić ani jednym przedstawicielem wśród powyższych 60 kryminalistów.

Natomiast inna grupa—zbrodniarzy-obłąkańców, przedstawia się u Lombrosa z daleko mniejszą wyrazistością. Badacz włoski obejmuje jedną nazwą „pazzo" mnóstwo najróżnorodniejszych typów. A zatem mamy tutaj waryatów w zwykłem tego słowa znaczeniu, melancholików, idyotów, postępowych paralityków, histeryków, alkoholików, narwańców, epileptyków... Jest to tłum tak różnorodny, że trudno w nim się rozejrzeć. Nie dziwota też, że wprost niepodobna wyrobić sobie w tej mierze żadnego jasnego obrazu, tembardziej, że gmatwanina, właściwa sam mu przedmiotowi, zostaje jeszcze powiększona małą systematycznością autora w wykładzie. Jeżeli jednak trudno dać jednolitą fizyczną albo duchową charakterystykę zbrodniarzy-obłąkańców, natomiast inna okoliczność, a mianowicie znaczny ich udział w zbrodnictwie nie ulega już podobnej wątpliwości. Kiedy wśród zwykłej ludności stanowią oni względnie mały procent, bo jeden ledwie przypada na 250—400 mieszkańców, wówczas liczba ich w świecie kryminalnym wzrasta olbrzymio. W niektórych więzieniach przedstawiają 3%. Nasse podnosi tę cyfrę do 10%, Thompson zaś do 12%. Sam Lombroso uważa te obliczenia raczej za nizkie i gotów dla więzień włoskich wygórować je do 19%, dla niemieckich zaś do 23%. Przytem różne objawy „obłąkania" występują nie w jednakowej mierze; jedne są częstsze, drugie—rzadsze. Kiedy wśród „uczciwych" obłąkańców melancholicy stanowią 8.5%, wówczas w świecie obłąkańczo-zbrodniczym dochodzą oni do 22·5%; manie epileptyczne wynoszą odpowiednio 8% i 13%, idyoctwo i głupowatość 14·6% i 10%, paraliże ogólne 9·7% i 6·5%, manie rozmaite 8.5% i 22%. Zresztą przytoczone powyżej liczby, pokazujące częstość obłąkańców wśród kryminalistów, brzmią jakeśmy widzieli bardzo rozmaicie, wahają się bowiem w granicach od 3% do 23%. Fakt ten dowodzi, jak odmiennie oceniane bywają objawy obłąkania. Co jedni uważają już za zboczenie, inni jeszcze za fakt normalny. Wobec takiej różnorodności należy przyjąć, że większość zbrodniarzy tego rodzaju już do więzienia wchodzi z odpowiedniem lubo niedostrzeżonem usposobieniem i że samo źródło występku spoczywa często w podkładzie organicznym, wrodzonym. Tego dowodzi także ów fakt, że zbrodniarze z obłąkania posiadają zwykle w rodzinie swojej podobne krewniactwo. Na 100 podpalaczy obłąkanych 50% ma różnych „pazzów" wśród rodziców, braci lub sióstr, stryjów lub ciotek, 10% zaś pomiędzy dalszymi krewniakami; u złodziejów tej grupy powyższe liczby wynoszą 73% i 14%; u zabójców— 69% i 12%, wreszcie u gwałcicieli — 73% i 9%. Naturalnie, pod wpływem otoczenia więziennego smutne to dziedzictwo objawia się silniej. Kiedy np. w lozańskiem więzieniu ogólnem procent obłąkańców jest tylko 2.9%, w celkach pojedynczych wzrasta już do 9·7%; podobnie w Mazas (Paryż) odpowiednie cyfry dają 2·2% i 19%. Zwłaszcza często, w następstwie uwięzienia, występuje hypokondrya i melancholia dochodząca aż do manii samobójczej. Obłąkanie u kryminalistów uwięzionych jest źródłem nieustających zajść i wypadków. Musi ono ukazać się w nader ostrej postaci, aby je za takie uznano. Postępki dokonane z tego powodu zwala się zwykle na krnąbrność i nieposłuszeństwo więźniów. Epileptycy np. przed każdą burzą, (i wogóle zmianą barometryczną) doznają szczególnego rozdrażnienia, łamią sprzęty, uderzają w drzwi itd. Tymczasem karze się ich wtedy za—niekarność! Udział obłąkania w zbrodni jest bardzo odmienny stosownie do rodzaju przestępstwa. Nicholson (Anglia) znajduje, że w kradzieży przyjmuje ono udział w wysokości 2·6%; zabójstwie — 6.5%; podpaleniu — 2·4%, w czynach lubieżnych — 5·6%. Jak jednakże badania te są niepewne, za dowód niech posłuży tabliczka Marra, który wśród zabójców znajduje aż 45% „pazzów," u ranicieli—26%, gwałcicieli 33%, złodziei—31·38%. Przepaść pomiędzy temi dwiema próbami stanowi wymowne świadectwo, jak ostrożnie należy patrzeć na pojedyncze wyliczenia!*). Jeżeli teraz przejdziemy do charakterystyki już nie mówię fizycznej, lecz wprost duchowej zbrodniarzy-obłąkańców, napróżno będziemy usiłowali wyznaczyć jakieś ogól-

*) Być może różnica pochodzi stąd że „pazzo" ma nazbyt obszerne i nieokreślone znaczenie u badaczów włoskich.

ne rysy. Wszystko rozpływa się w pojedynczych okazach. Zapewne, możnaby tu zyskać pewną wyrazistość, gdyby rozbić owego niejednolitego „pazzo" na pierwiastki składowe. Wprawdzie Lombroso podejmuje równie podobną próbę, lecz po to tylko, aby rezultaty zyskane na jednej stronicy pogmatwać na następnej. Najwyraźniej może została przedstawiona grupa histeryczek. Ciągła zmienność popędów, zachcianek i pożądań, przechodzących w krótkim czasie przez całą gamę od pustej wesołości aż do głębokiego smutku, niestałość celów, namiętność kłamania, już świadomego to znowu nieświadomie popełnianego, silne zakłócenia płciowo-uczuciowe, wszystko to są cechy, dostarczające sporego zastępu kryminalistów z pośród histeryczek. Zwłaszcza ciekawy jest ich stosunek do prostytutek. Już Legrand wśród badanych histeryczek znalazł 12%, które oddawały się prostytucyi bez żadnego innego powodu krom nerwowej swej chorobliwości. Histeryczki występują też często w roli fałszywych oskarżycielek i potwarz znowu obraca się zazwyczaj dokoła odpowiednich przedmiotów, tak np. z pośród 21 tego rodzaju przestępczyń 9 wytoczyło sprawy o zgwałcenie — fałszywe, 4 zaś podało skargę przeciw mężom z przyczyn nazbyt drażliwych. Podobnie wśród złodziejek stanowią one bardzo pokaźny procent, bo aż 50% (stąd większość popełnia kradzież podczas choroby miesięcznej). Ciekawe są tu stronice, gdzie Lombroso kreśli charakter innej grupy histeryczek — świętych, nie poruszamy jednak tego, by nie odchylać się od wątku właściwego.

Inne kategorye obłąkańców są pozbawione już tej jaskrawości i wyrazistości. Pozostaje nam przeto zatrzymać się nad kilku pojedyńczymi przykładami, aby uwidocznić odpowiednie wpływy w całem krańcowem ich wyrażeniu. Antropolog włoski przytacza np. jednego obłąkańca, który w 20 roku życia był sprawcą 400 przestępstw; inny, który zakończył samobójstwem, lipemaniak, popełnił 180 kradzieży. Wśród gwałcicieli znajdują się jednostki, co popełniły po 11, 8, 5 odpowiednich czynów; jeden półgłuptas w ciągu dnia dokonał albo próbował aż 15 zgwałceń. Krauss badał 23-letniego podpalacza, sprawcę 88 pożarów jednego roku. Pewna histeryczka, służąca, sprowadzała dzieci, rozbierała siebie i je do naga, urządzała lubieżne tańce i śpiewy itd. Są to postacie krańcowe, lecz właśnie dlatego dają jasne wyobrażenie o „obłąkańczem" zbrodnictwie. Często zlewają się one z typem zbrodniarza urodzonego, tak iż zaciera się wszelka różnica. Autor zwiększa jeszcze to pogmatwanie. Raz umieszcza ten sam przykład dla uwidocznienia „obłąkania," to znowu w sylwetce zbrodniarza urodzonego. Widoczna, że nad dziełem Lombrosa ciąży dawna tradycya, kiedy nie odróżniał jeszcze tych różnych w dzisiejszem rozumieniu źródeł zbrodnictwa. Wreszcie wśród zbrodniarzy z obłąkania pomieszcza też i alkoholików. Otóż sam stan nieprzytomności z pijaństwa idzie często w parze z chuciami zbrodniczemi. Można w tej mierze dać kilka ciekawych przykładów. Człowiek np. zupełnie uczciwy, lecz jak tylko nieco odurzył głowę, zaraz staje się złodziejem, kradnącym wszystko, co wpadnie pod rękę; inny w podobnym wypadku czuje rodzącą się w sobie chuć zabójczą, jeszcze inni dochodzą do niemożliwych nadużyć płciowych. Wśród zbrodniarzy alkoholików przeważają zabójcy, są oni blisko w liczbie 36%, następnie idą złodzieje — 20% i gwałciciele — 10%. Wpływ opilstwa na zbrodnię uwidocznia się z badań Ferriego, które wykazały, że z szerzeniem się tej plagi wzrasta też liczba przestępstw kryminalnych. W każdym razie alkoholizm jest bardzo upowszechniony w świecie zbrodni. W Holandyi przypisują mu 87% kłótni i poranień, 75% zamachów przeciw osobie, 25% względem własności. Zresztą przestępca alkoholik objawia szczególną naturę w tym fakcie, że zamknięcie więzienne, odsuwając odeń stosowne wpływy i odzwyczajając od trunków, zwykle go poprawia.

Ukazywanie się żądzy zbrodniczej pod wpływem alkoholu, zwłaszcza silne w stanie nieprzytomności, rzuca niejakie światło na rodowód zbrodni wogóle. Jedna ta okoliczność wystarczałaby już najzupełniej, aby w przestępstwie widziano przedewszystkiem objaw pewnego szczególnego zakłócenia emocyonalnego. Co więcej, wolno mniemać, że bodźce ukryte są ostatecznie tej samej natury w każdej zbrodni, co i w chuciach, które ukazują się każdorazowo w następstwie nadmiernego użycia trunków. Lombroso kładzie na to silny nacisk. Zauważa on z jednej strony, że wśród epileptyków mamy aż 51% takich, którzy pochodzą od rodziców alkoholicznych (Bourneville), oraz że wśród opojów znajduje się około 10% epileptyków — fakty wskazujące na pewne pokrewieństwo pomiędzy stanem upojenia i atakiem epileptycznym; z drugiej zaś strony wykazuje znaczny procent epileptyków wśród świata zbrodniczego, oraz przytacza ciekawy szczegół, iż zbrodnia często ukazuje się zamiast napadu choroby. To wszystko naprowadza na myśl, że rozmaite zbrodnie, jako też wszelkie wogóle uniesienia silne i gwałtowne, wybuchy nagłe namiętności, chwilowe a dziwne żądze, itd., są być może jedynie szczególnymi objawami tej samej pobudki, która zradza padaczkę. Wtedy i zbrodniarz urodzony, i przestępca z namiętności, i kleptoman, dypsoman, histeryczka, alkoholik byliby rozmaitymi gatunkami jednego rodzaju — epileptokształtnego, do którego zresztą należeliby jeszcze geniusze, samobójcy, mattoidzi, prorocy itd. Słowem różne te postacie miałyby wspólną podstawę rodowodową. Rozmaite grupy zbrodnicze byłyby związane wspólną nicią. Wśród nich zbrodniarz z urodzenia stanowiłby główną postać, wynosi on w czystej formie 23% świata zbrodniczego. Niepokalany innemi żądzami zbrodniarz z namiętności dawałby około 5—6%, przypadkowy nie więcej. „Obłąkanie" czyste dostarczałoby do 10%. Alkoholizm nieco mniej. Reszta składałaby się z postaci pośrednich...

A teraz wypada nam dodać od siebie słów kilka na zakończenie. Teorya Lombrosa doznała, jakeśmy wspominali, silnych ataków w przeciągu dwu lat ostatnich. Jedne z nich były skierowane ku zasadniczemu założeniu, iż istnieje szczególny fizyczny a jednolity typ zbrodniarza urodzonego, i przeciw przypuszczeniu, iżby miał on odtwarzać rysy człowieka dzikiego. Kiedykolwiek pomówimy szczegółowiej o tych zarzutach. Z drugiej znów strony walka toczy się przeciw wysnuwanym reformom co do kodeksu i postępowania karnego. Otóż szermierze dawnej metafizyki karnej czerpią z dowodów, podawanych przez powyżej przytaczanych przeciwników. Jest to postępowanie bardzo niesłuszne. Czy typ zbrodniarza urodzonego wyjdzie cało z walki lub też ulegnie w niej, widoczna jednak, iż w świecie zbrodniczym istnieją bardzo odmienne postacie, że bezpieczeństwo społeczne wymaga względem każdej z nich innego postępowania za ten sam czyn, że wreszcie, wobec dziedziczności popędów zwyrodniałych, należy nietylko chronić społeczność od potworów w rodzaju Verziniego lub Janka rozpruwacza, lecz nadto nie dopuścić, aby mogli oni pozostawić potomstwo. Główne więc założenie prawnej reformy, nakreślonej przez Garofala lub Ferri, pozostaje nietknięte... Wreszcie musimy dodać, że niebawem ma ukazać się w polskim przekładzie pierwsza część dzieła Lobrosa o zbrodnictwie, mianowicie *Zbrodniarz urodzony.*

Ludwik Krzywicki.

ŚWIATŁO JAKO OBJAW ELEKTRYCZNY.

I.

Podanie mówi, że Febus-Apollo, spełniający z początku tylko wolę rodzica swego Jowisza, poróżnił się z nim i zaczął działać sam, objawiając się śmiertelnym własnemi, dobremi i złemi czyny. Mitologia nie powiada, w jaki sposób nastąpiło później pogodzenie zwaśnionych; możnaby jednak przypuścić, że kapłani Minerwy znowu upodwładnili boga światła wszechpotężnemu gromowładcy. Bądź jak bądź — w nauce rzeczy tym właśnie odbyły się trybem. Faraday pierwszy zadziergnął węzeł pomiędzy odrębnemi do owego czasu dziedzinami elektryczności i światła, a w umyśle wielkiego jego adopta — Maxwelll'a poczęła się wyraźnie sformułowana idea, która w ostatnich latach, dzięki doświadczalnym pracom Henryka Hertza z Bonn, przyoblekła się w krew i ciało faktu, orzekającego, że światło — wszelkie światło, zarówno słońca, jak palącej się świecy lub robaczka świętojańskiego — jest zjawiskiem elektrycznem. Prace owe stanowią — według wyrażenia samego ich autora — tylko jedno ogniwo długiego łańcucha hipotez i faktów w tej mierze i mogą być należycie ocenione tylko w sprzężeniu z innemi, poprzedzającemi. Otóż w niniejszym artykule chcemy właśnie przedstawić czytelnikom przynajmniej główniejsze z tych ogniw.

Przedewszystkiem tedy, co wiemy pewnego o świetle? Wiadomo, że światło dla przebycia przestrzeni wymaga pewnego czasu, czyli, że rozchodzi się z pewną skończoną prędkością; w próżni, tj. w przestrzeni, nie zawierającej żadnej ważkiej materyi, rozpływa się ono, według ostatnich doświadczeń Cornu, z prędkością 300,400 kilom. (w okrągłych cyfrach) na sekundę. Dalej, dzięki pracom Younga, Fresnela, Foucaulta i Fizeau, wiemy, że światło dodane do światła w pewnych warunkach powoduje ciemność (interferencya światła) oraz że prędkość jego jest tem mniejsza, im gęstszy jest środek, w którym się rozprzestrzenia, a więc np. w szkle — mniejsza, niż w powietrzu. Nareszcie wiemy, że światło, przepuszczone przez pewne ciała, np. przez tafelkę turmalinu, albo odbite pod pewnym kątem od gładkiej powierzchni, zmienia swe własności: przez drugą takąż tafelkę, ustawioną w pewnem określonem położeniu, przechodzi ono prawie zupełnie nieosłabione, przy położeniu zaś tafelki prostopadłem do tamtego — gaśnie. Światło, zachowujące się w ten sposób, zwane dla odróżnienia od zwykłego — spolaryzowanem, będąc dodane do takiegoż światła, w pewnych warunkach również powoduje ciemność. Fakty te znajdują należyte wyjaśnienie w t. z. teoryi undulacyjnej, według której światło polega na drgającym, falowym ruchu. Znamy długość tych fal dla oddzielnych barw światła oraz odpowiadającą im częstość drgań i, na mocy pewnego twierdzenia, stosującego się do każdego ruchu falowego, możemy prędkość światła, zmierzoną bezpośrednio na podstawie obserwacyj astronomicznych i doświadczeń optycznych, obliczyć także teoretycznie, mnożąc długość fali przez odpowiadającą jej częstość drgań, tj. liczbę drgań, wykonywanych w ciągu 1 sekundy. Wiemy nadto, że są to falowania poprzeczne, tj. zachodzące w kierunku prostopadłym do drogi rozprzestrzeniania się światła, a więc tegoż rodzaju, co i np. falowania na powierzchni wody. Teorya falowania światła, powiada Hertz *), jest — o ile ludzie mogą coś na pewno wiedzieć — rzeczą pewną i wszystko, co z niej

*) *Ueber die Beziehungen zwischen Licht u. Elektricität.* Odczyt ten podaje obecnie *Wszechświat* w polskim przekładzie.

koniecznie wynika, jest również pewnem, a więc i to, że cała znana nam przestrzeń nie jest próżna, lecz wypełniona materyą, zdolną tworzyć fale — eterem.

A teraz, co to jest elektryczność? Na pytanie to nauka nie daje dotąd zadawalającej odpowiedzi. Zresztą bliżej nas tu obchodzi inne, bardziej szczegółowe pytanie, dotyczące sposobu przenoszenia się działań elektrycznych i magnetycznych — które odtąd dla krótkości będziemy oznaczali wspólnem mianem elektromagnetycznych— z jednego ciała na drugie. Czy rozdzielający te ciała środek izolator bierze jakiś udział w przenoszeniu się owych działań? Przez długi czas odpowiedź na to pytanie wypadała przecząco: przypuszczano poprostu, że jedno — albo różnoimienne płyny elektromagnetyczne odpychają się albo przyciągają wzajemnie i „działają na siebie z odległości" bez wszelkiego pośrednictwa rozdzielającego je izolatora. Powoływano się przytem na analogię z ciążeniem powszechnem, dla którego również przyjmowano działanie z odległości, przypisując takie „wyjaśnienie" ciążenia samemu Newtonowi, chociaż on uważał je za absurd. Nie umiano wprawdzie związać z wyrazami „działanie z odległości" żadnego pojęcia. ale — wo Begriffe fehlen, da stellt ein Wort zur rechten Zeit sich ein — i wyobrażano sobie, że w ten sposób najprościej wyjaśnia się odnośne zjawiska. Tylko samodzielny jakiś umysł mógł się wyzwolić z pod wpływu tych tradycyj, rzekomo wywodzących się od Newtona, i jasnem, nieuprzedzonem okiem postrzegać istotnie zachodzące objawy. Umysłem takim był Faraday. Wykazał on, że przenoszenie się działań elektromagnetycznych dokonywa się przy udziale środka — „dielektryka," oddzielającego dany induktor od danego przewodnika elektrycznego, oraz, że wywoływany przytem skutek indukcyjny jest przy tej samej odległości bardzo różny, zależnie od natury dielektryka, np. dla parafiny lub siarki w stanie stałym — większy, niż dla powietrza. Różne więc ciała niejednakowo łatwo przeprowadzają indukcyę elektryczną, posiadają różną zdolność indukcyjną właściwą, albo—jak ją dzisiaj nazywamy— różną stałą dielektryczną. Wielkość tę od owego czasu zmierzono dla bardzo wielu ciał dielektrycznych. Faraday przyjmuje tedy, że działanie elektryczności, zebranej na induktorze, rozpościera się tylko na najbliższą warstwę dielektryka, od tej przenosi się na następną itd. aż wreszcie nie dosięgnie ostatniej warstwy, przylegającej do przewodnika, w którym wzbudzona wtedy zostaje elektryczność; w ten sposób tłomaczy się owo rzekome działanie na odległość. Przy rozprzestrzenianiu się sił elektromagnetycznych w otaczającym środku zachodzą pewne wstrząśnienia (dysturbacye), które przenoszą się od punktu do punktu bez przeskoków, podobnie jak to przyjmujemy dla rozchodzenia się światła w odnośnym środku. Ale jakiż to środek przeprowadza siły elektromagnetyczne? Wiadomo, że to te ostatnie działają także poprzez t. z. próżnię, nie ulega nadto wątpliwości, że słońce wywiera działanie elektromagnetyczne na ziemię. Pozostaje więc tylko przyjąć, że środkiem tym jest albo inny jakiś eter, albo ten sam eter, który przenosi także światło. Wiele przemawia za tem ostatniem przypuszczeniem. Eter, przenikający przestrzenie międzycząsteczkowe wszystkich ciał, zmienia swe własności wskutek oddziaływania nań cząstek tych ciał i sam z kolei wywiera pewien wpływ na te cząstki. W ten sposób tłomaczy się rozmaita łatwość, z jaką różne dielektryki przeprowadzają działania elektromagnetyczne i rozmaitość zjawisk w dielektrykach podczas rozchodzenia się w nich tych działań.

Takie były mniej więcej poglądy i domysły Faradaya. Nie zdołał on ich dostatecznie udowodnić i wywalczyć dla nich prawo obywatelstwa zwłaszcza śród niemieckich fizyków; zbytnio też one odbijały od ogólnego tła innych, uświęconych tradycyą poglądów. Faraday jednak był pewny swego i do końca życia doszukiwał się związku między elektromagnetyzmem i światłem. Pewien taki związek, jakkolwiek pośredni tylko, zdołał on rzeczywiście wykazać. Zwykłe światło, w duchu teoryi Fresnela, polega na drganiach eteru, zachodzących w różnych płaszczyznach, prostopadłych do kierunku rozprzestrzeniania się światła, spolaryzowane zaś — na drganiach, odbywających się w jednej tylko takiej płaszczyźnie. Płaszczyzna, prostopadła do tej, w której zachodzą drgania spolaryzowanego światła, nazywa się płaszczyzną polaryzacyi. Otóż Faraday przepuszczał spolaryzowany promień światła przez pewne „ciężkie szkło," umieszczone w potężnem polu magnetycznem pomiędzy biegunami wielkiego elektromagnesu i zauważył, że, przy przesyłaniu prądu przez cewki tego ostatniego, płaszczyzna polaryzacyi skręca się na pewien kąt od pierwotnej płaszczyzny. Później wykazano, że podobnie jak ciężkie szkło zachowują się także inne ciała, a w r. 1877 Kerr odkrył, iż płaszczyzna polaryzacyi skręca się także przy odbiciu się spolaryzowanego promienia od powierzchni magnesu lub elektromagnesu. Bardziej bezpośredni związek pomiędzy rzeczonemi czynnikami wykrył Wiedemann. Jeżeli przez t. z. rurki Geisslera— szklane rurki, napełnione bardzo rozrzedzonymi gazami—przechodzi prąd elektryczny, wtedy gazy zaczynają świecić nawet przy temperaturze niżej 100°; świecenie nie może tu pochodzić wskutek rozżarzenia gazu, należy przeto przyjąć, że w tym wypadku energia elektryczna bezpośrednio przechodzi w energię świetlną. Znamy także przykłady wręcz przeciwnego rodzaju. Blaszka powolnie ochłodzonego krystalicznego selenu jest bardzo wrażliwa na światło: pod jego wpływem przewodnictwo elektryczne takiej blaszki znakomicie się zwiększa: podobne własności posiada także tellur. W połowie bieżącego wieku Becquerel zrobił odkrycie, że, przy oświetleniu jednej z dwóch blaszek srebrnych, pokrytych świeżo osadzonym chlorkiem srebra i zanurzonych w wodzie, powstaje w łączącym te blaszki drucie prąd elektryczny. W tych więc wypadkach zdradza się wpływ światła na elektromagnetyzm.

Zwolennikowi poglądów Faradayowskich, uzbrojonemu tylko w powyżej przytoczone faktyczne argumenty, jakiś mefistofeles nauki mógłby był rzucić zdanie: „Nun hat er die Glieder in seiner Hand, fehlt, leider! nur das gestige Band." Ale oto Maxwell, przyjąwszy rzeczone poglądy, ogłasza w r. 1865 swą elektromagnetyczną teoryę światła, według której światło polega na rozprzestrzenianiu się dysturbacyj elektrycznych w danym środku. (Do podobnych wniosków doszli także inni uczeni, nie umieli ich jednak tak szczęśliwie przeprowadzić). Za punkt wyjścia posłużył dlań fakt*), że elektryczność, będąca w ruchu wywiera siły magnetyczne, magnetyzm zaś będący w ruchu — siły elektryczne, które to działania występują jednak tylko przy bardzo wielkich prędkościach. W wzajemnych więc stosunkach między elektrycznością i magnetyzmem występują prędkości i stała wielkość, która określa te stosunki i ciągle się w nich powtarza, sama jest olbrzymią, lecz skończoną prędkością. Prędkość ta, oznaczona na zasadzie pomiarów czysto elektrycznych, okazała się prawie równą innej ważnej prędkości — prędkości światła. Mogło to być dziełem przypadku, Maxwell, jako adept Faradaya, inaczej jednak sądził: dla niego zgodność tych prędkości była wskazówką, że ten sam eter przeprowadza drgania świetlne i dysturbacye elektryczne. W takim zaś razie obie prędkości, znalezione jako prawie równe, muszą być dokładnie sobie równe i najważniejsza stała optyczna — prędkość światła występuje wtedy także w formułach zjawisk elektrycznych. Tę to spójnię Maxwell usiłował wzmocnić. Rozszerzył on rzeczone formuły w ten sposób, że obejmowały one wszystkie znane zjawiska elektryczne, ale obok nich wykazywały nieznaną jeszcze, nową grupę zjawisk — fale elektryczne. Rachunek pokazywał, że są to fale poprzeczne, które mogą mieć wszelką długość fali, lecz muszą się zawsze w eterze rozchodzić z tą samą szybkością — z prędkością światła. Fale takie — nauczał on—rzeczywiście w naturze istnieją, jakkolwiek nie przywykliśmy ich uważać za zjawiska elektryczne, lecz oznaczamy je oddzielnem mianem światła. Rozchodzenie się światła w danym środku jest to nic innego, jak tylko rozprzestrzenianie się w nim dystyrbacyj elektrycznych. Taki jest ostateczny wywód teoryi Maxwell'a.

Każda rzetelna teorya powinna w ten sposób formułować swe wnioski, aby mogły być doświadczalnie sprawdzone. Otóż powyższa teorya najzupełniej czyni zadość temu warunkowi. Jeden z najważniejszych jej wniosków opiewa, że dla tego samego ciała stała dielektryczna powinna być równa kwadratowi z jego współczynnika załamania światła: doświadczenia Gordona, Boltzmanna i innych wykazały, że jest to w przybliżeniu słusznem dla fal o bardzo wielkiej długości. Nie dosyć tego, w pewnych ciałach krystalicznych współczynniki załamania światła są niejednakowe w różnych kierunkach, według powyższego więc i stałe dielektryczne w tych kierunkach powinny być odpowiednio różne: Boltzmann pokazał, że tak jest rzeczywiście. Dalej z teoryi Maxwella wynika, że wszystkie dobre przewodniki elektryczności muszą być nieprzezroczyste: sprawdza się to najlepiej na metalach. Silvanus Thompson wykazał nadto, że pewne ciała krystaliczne, jak np. turmalin, które lepiej przeprowadzają elektryczność w jednym kierunku, niż w drugim, są także w tych kierunkach niejednakowo przezroczyste na światło. Lorenz, Fitzgerald i John Thomson wyprowadzili w ostatnich czasach z teoryi Maxwella wyrażenia dla natężenia odbitego i załamanego światła, zgodne z rzeczywistością i z wzorami, jakie daje teorya undulacyjna. Brak miejsca nie pozwala nam dalej wyłuszczać zgodności wniosków elektromagnetycznej teoryi z doświadczeniem, nadmienimy więc tylko, że tłomacząc znane zjawiska optyczne również dobrze, jak teorya undulacyjna Fresnela, zdaje ona nadto sprawę — czego ta ostatnia teorya nie czyni—z elektromagnetycznego skręcania płaszczyzny polaryzacyi i innych podobnych zjawisk. W następnym artykule wykażemy, jak Henryk Hertz ostateczny wywód tej teoryi przetopił w ogniu doświadczenia na szlachetny kruszec faktycznej prawdy nauki.

Henryk Silberstein.

*) Patrz cytowany już odczyt Hertza. Przystępny wykład tej teoryi ogłosił prof. Bergman w czasopiśmie ruskiego Towarzystwa fizyczno-chemicznego za r. 1882, str. 15—42 oraz p. Merczyng — w *Kosmosie* lwowskim za r. 1886, str. 177—194.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Dr. T. Mandybur, *Krzysztof Opaliński* jako pisarz satyryczny. Lwów, 1890.

II.

Nagle jednak inny duch zaczyna wiać w jego pismach. Ton satyr zmienia się, choć owa służenia dobremi radami Rzeczypospolitej niknie bez śladu; już nie pisze Krzy-

sztof traktatów zawierających pożyteczne uwagi i przestrogi, lecz prawdziwe satyry, napełnione złością i jadem. Dr. Mandybur motywuje ową zmianę odsunięciem Opalińskiego od wyższych godności przez pominięcie go przy obsadzaniu marszałkowstwa. Pierwszym wyrazem nowego kierunku jest owa satyra 10 księgi V, jedna z najzjadliwszych i najczarniejszych, jakie Opaliński napisał. Wysyła tam w niej Dyogenesa z latarnią, aby szukał ludzi w Polsce. Dyogenes udaje się naprzód do szlachty, lecz tu natrafia na samych oszustów, pijaków i tyranów. Pomimo to księża na pogrzebach pod niebiosa ich wychwalają. Senat i sejm dbają tylko o własną prywatę i dadzą wszystko z sobą zrobić. Co jednak aż nadto wyraźnie przebija się ze słów tej satyry, to zachęcenie stanu rycerskiego do bezwzględnej opozycyi przeciw królowi, jeśliby danych raz obietnic nie chciał dotrzymać. Nigdzie zresztą w satyrach nie napotykamy na tak bezwzględną i rzeczywiście jadowitą krytykę króla i jego dworu. Do rady zwołuje on swoich błaznów, z których wszyscy wraz z nim śmiać się muszą, a na dworze wszystko sprzedajne i fałszywe; królowej samej zarzuca przedajność, nie wprost, ale pośrednio wspominając o przekupnej Bonie.

Dr. Mandybur tak się wyraża o tej satyrze:

„Gadzinowe przymioty Krzysztofa występują tu we właściwem świetle: podejrzliwość, bezwzględna opozycya, naklanianie do oporu uzasadnionego rzekomo jakąś anegdotką kronikarską, a nawet *wciąganie osób, które nie powinny być przedmiotem pocisków i złośliwych uwag...*" Za tę satyrę zdradzającą, krom ostrych bólów podrażnionej próżności, niezaprzeczoną dozę prawdy, dostaje się wojewodzie epitet „złego i niegodnego człowieka," wogóle piętnuje się bezwzględną krytykę dworu mianem „oszczerstwa." Usposobienie Opalińskiego w tym okresie jego działalności autorskiej tłomaczy nam grupa uspakajających i na pozór skromnych satyr, pisanych na wsi po usunięciu się autora z widowni życia publicznego. Powtórne pominięcie przy obsadzeniu wyższej godności wyrwało go z tego odrętwienia. Widocznie przekonał się, że że rankorem swoim niczego nie wskóra. Poznał pan wojewoda głębokim swym rozumem, że odosobnienie się jego dalsze niema żadnego celu i że go może w oczach szlachty ostatecznie ośmieszyć. Zresztą czemużby nie miał spróbować szczęścia pod nowym monarchą? Wszak droga zasług każdemu stała otworem, a ten, którego pominięto, łatwo mógł na wstępie oczyścić się z ciążących na nim zarzutów, zjednać sobie przychylność dworu i względy na przyszłość. Mąż stanu z odmiennym od Opalińskiego charakterem chwyciłby się zapewne innych środków: starałby się, zmieniwszy dotychczasowe postępowanie, zachowaniem swem i popieraniem królewskich dążeń powrócić nazad do łaski. Krzysztof chwyta się pióra. Mowy, listy i satyry stanowiły dotąd pole jego działalności, na tej samej drodze miała nastąpić zmiana w jego poglądach, prawdziwa czy udana. Z tych pobudek przystępuje w r. 1650 do wydawnictwa swych utworów, łącząc je w jedną całość; mieścił się w nich wszakże niejeden przykry zarzut, wymierzony przeciw dworowi — w tym tonie trzymany zbiór nie odpowiedziałby celowi i mógłby tylko zły skutek wywrzeć. Trzeba było koniecznie tę właśnie stronę satyr wygładzić i wyrównać, dawne plany zatrzeć: zdanie dawniej o królu i dworze wypowiedziane, musiało uledz umiarkowaniu. Ta okoliczność objaśnia nam fakt, iż Opaliński w pierwszych dwóch latach panowania Kazimierza zabiera się do pisania satyr, których treść i tendencya wobec dawnego zachowania się względem dworu stanowią niespodziankę, a autora samego wikłają w sprzeczności, które najgorzej o nim świadczą. Z tego czasu pochodzi trzecia grupa satyr, przeważnie politycznych, z kilku dawniejszemi złączona w księdze III. Na szczęście chęć pojednania się z dworem przez wychwalanie i bronienie Kazimierza nie wzbudziła zaufania u króla, który widocznie wolał opierać się na ludziach pewniejszych, uleglejszych i nie miał ani potrzeby, ani chęci stosować się do życzeń wymownego mentora. Po raz trzeci chybił wojewoda. Grupa ta satyr odznacza się siłą fantazyi i prawdy, która bije z każdego obrazka.

Na dowód, że przekupstwa na dobre zagnieździły się w przybytkach sprawiedliwości, przytacza Opaliński zdarzenie z własnego życia, które charakterystyczne rzuca światło na jego sposób myślenia. Miał on raz sprawę w trybunale, a „jurystowie" radzili mu, aby się starał deputatów przekupić. Zaprosił więc do siebie panów na obiad, uraczył jaknajlepiej i w ten sposób, mówi on, „wygrałem spraweczkę, która mi kilkadziesiąt tysięcy przyniosła, choć nie cała, przyznam się, była sprawiedliwa; nigdybym jednak tej spraweczki nie wygrał bez złota, bez konia i bez dwu kóp drzewa danego jednemu z deputatów, który gdzieś budował dwór dla siebie." Podziwiać należy otwartość, z jaką pan wojewoda przyznaje się do tego rodzaju doświadczeń w sprawie, jak sam się wyraża, niezupełnie czystej i widać, że katońskie jego zapatrywania mogły nieraz ustępować korzyściom materyalnym. Pojmujemy teraz, czemu w przedmowie do satyr powiada, „że i on sam jak w zwierciedle w swych satyrach się obaczyć może."

Wypadkami współczesnymi wywołaną została także satyra „Na ciężary i oppresyą chłopską w Polsce," w której, jak niegdyś Seb. Klonowicz w „Victoria Deorum," żarliwie występuje z obroną uciśnionego stanu włościańskiego. Słusznie dopatruje w ucisku ludu, zwłaszcza ukraińskiego, przyczyny nieszczęść i sromoty, „ba, mało nie ostatniej już zguby, gdy bóg to *flagellum* przez chłopy zesłał na nas, karząc oczywiście wprzód klęską i więzieniem hetmanów, a potem brzydką i desperacką ucieczką, nakoniec haniebnym pokojem (zborowskim) ojczyznę." Odkrywa on wiele smutnych i z pewnością prawdziwych stron w postępowaniu z ludem: chłop musi znosić wszelkie ciężary, żywią go najgorzej „i pić każą piwo, którémby same trzeba dyably truć w piekle." Za lada winę grabią mu dobytek bezwzględnie i bez litości. Nawet przed zbrodnią nie wzdrygają się panowie, „bo jeśli zdechł wół, albo tam co z przychowków, czarownice wini. Każą tedy niewinną babę wziąć i męczyć, aż ich z piętnaście wyda. Ciągnie kat i pali... Urzędnicy bez sądu i świadków skazują chłopów na srogie kary, a karczmarze, włodarze dopełniają miary, przyciskając chłopka ciężarem, który to księdzu, Rzeczypospolitej, panu, żołnierzowi, urzędnikom, pirarzom, klechom, sługom pańskim, hajdukom i kozakom, dzieciom swym i żonie dawać musi ustawnie z ubogiego szpłachcia. Nie dziw więc, że obecnie chłopstwo się buntuje i naraża Rzeczpospolitą na wielkie niebezpieczeństwo."

Pobieżny przegląd satyr politycznych, powstałych w trzech fazach pisarskiego zawodu Opalińskiego, przekonywa, że jego przedstawienie stosunków nie jest fałszywem i pesymistycznem — owszem, o ile w młodzieńczych swych latach zajmował się przeważnie poważnemi radami dla dobra i obrony Rzeczypospolitej, w których przebija się żarliwa chęć służenia nabytemi wiadomościami i doświadczeniem, o tyle satyry późniejsze odpowiadają faktycznemu stanowi rzeczy: nielad w czasie bezkrólewia, brak obrony granic, prywatne zabiegi i wichrzenia po śmierci każdego króla, intrygi przeciw niemu, udzielanie urzędów niezasłużonym lub cudzoziemcom, protegowanie i mianowanie nieudolnych hetmanów, w miejsce zdolnych choć z niższego rodu, niesprawiedliwość w trybunałach, nieporządki w skarbie, słaba obrona granic — wszystko to da się faktami stwierdzić. Pewne zboczenia wywołane pod wpływem weny satyrycznej, nie wchodzą tutaj w rachubę. Pisał zaś Opaliński o tych ważnych sprawach wprawdzie nie bez tendencyi i widoków osobistych, lecz z pewnem obywatelskiem przejęciem się, był to dla niego ostatni czas zwrócenia się na dobrą drogę, lecz zamknięto mu ją, wbrew jego nadziejom — zupełnie.

Inaczej się ma rzecz z satyrami przedtem wśród „rankoru" pisanemi. O tych powiada dr. Mandybur: „Litować się nad autorem musimy, gdy nam przedstawia dwór jako miejsce, gdzie przebywają sami intryganci i truciciele, Polskę pogrążoną w ogólnem pijaństwie we wszystkich stanach, sejmy jako zebrania idyotów, z których się cudzoziemcy nawet wyśmiewają, ogólne przekupstwo bez wszelkiej tamy — obrazy wręcz fałszywe lub zawierające ledwie setną część prawdy (?) — to jest Krzysztof bezwstydnym kłamcą i fałszerzem na wielką skalę (?)." Pobudki, jakie Opalińskiego skłoniły do pisania traktatów i satyr treści politycznej, były po części osobiste, mające na celu bądź to „przypodobanie się," bądź to „oczernienie" króla i dworu stosownie do czasu i okoliczności. Lecz na napisanie pięciu ksiąg, obejmujących 52, satyr, w których panuje taka rozmaitość przedmiotów, składały się prócz tego inne pobudki i zamiary, których zaspokojenia zapragnął był wybujały i wielce o sobie samym myślący umysł pana wojewody.

(D. n.).

H. B.

Z NIEMIEC.

9 listopada.

Wspomnienia Gustawa Freytaga o cesarzu Fryderyku III.—Uczenica Vischera o życiu mistrza swego.—Nowy utwór realizmu niemieckiego: "Papa Hamlet," nowele Bjarne P. Holmsena (Arna Holza). — Marcin Greif i najnowsza tragedya jego „Konradin des letzte Hohentaufe" wystawiona w Monachium. — Proces literacki.

Gustaw Freytag, słynny powieściopisarz niemiecki, ogłosił swe wspomnienia o cesarzu Fryderyku III. Ze zdziwieniem i zadowoleniem czyta się książkę, która bynajmniej nie stanowi ogniwa w łańcuchu panegirycznych chwalb, jakie zsypano na grób zmarłego cesarza. Owszem, mimo lojalnego tonu, z którym Freytag na żadnej stronicy się nie rozstaje, ostatecznym wynikiem tej pracy jest znaczne skurczenie i zredukowanie idealnych rozmiarów, nadanych postaci „wiecznego następcy tronu" przez prasę i entuzyazm publiczności. Autor bada przedewszystkiem udział cesarzewicza we wskrzeszeniu cesarstwa niemieckiego, stąd tytuł książki „Der Kronprinz und die deutsche Kaiserkrone" *). Składa się ona przeważnie z pamiętników Freytaga, pisanych podczas wojny francusko-niemieckiej, następnie z listów pisanych z obozu niemieckiego do przyjaciela, wreszcie z artykułów już ogłoszonych. Nadto mieści się w niej charakterystyka cesarzewicza, naszkicowana na podstawie długoletniego, ściślejszego z nim stosunku. Nie brak i tu rysów, zdolnych wzbudzić sympatyę dla nieboszczyka. Po bitwie pod Wörth rzekł on do Freytaga ze wzruszeniem: „Brzydzę się tą rzezią, nigdy nie pragnąłem zaszczytów wojennych; bez zazdrości odstąpiłbym taką sławę innemu. Tymczasem właśnie jest to przeznaczeniem mojem, aby z jednej

*) Lipsk, S. Hirzel, 1889.

wojny wpadać w drugą, z jednego pola bitwy na drugie i broczyć we krwi ludzkiej, zanim dostąpię tronu ojców wych. Ciężki to los.“ Podnosi też Freytag szczerość i uczciwość cesarzewicza, jego ludzkość, ciepłe współczucie dla cierpiących; zdolność entuzyazmowania się wszystkiem, co piękne i wzniosłe; tolerancyę w sprawach religijnych, niechęć przeciw obłudnemu klerowi, przeciw wygórowanej władzy policyi i nadzorowaniu wszystkich czynności poddanych. Mimo iż charakter jego miał wybitne cechy władcy, odznaczał się cesarzewicz niezwykłą tolerancyą dla przekonań odmiennych od własnych jego poglądów, a nawet niewygodnych dlań; można je było śmiało wobec niego wypowiadać. Oto cechy dodatnie. Atoli książę ten, którego przedstawiano zawsze jako duszę gołębią, pełną dobroci, trawiony był przez całe niemal życie ambicyą głęboką, pożerającą szlachetniejsze w nim porywy: najpierw żądzą stworzenia cesarstwa niemieckiego, potem żądzą panowania. Należy nadmienić, że owe pragnienia, tak jak istniały w duszy Fryderyka i jak się w słowach i czynach jego odbijały, nie miały znamienia dążeń objektywnych, szlachetnych, ale osobistych i rodzinnych. Kiedy Freytag w r. 1870 przybył do obozu, był on przeciwnikiem myśli cesarstwa. W tej opozycyi łączyło się z nim wielu najdzielniejszych ludzi w Niemczech. Cesarzewicz z całą energią występował w obronie korony cesarskiej i kilkakrotnie o sprawie tej dyskutował. „Nie byłem w stanie — pisze Freytag — pozbyć się sądu swego wobec najwyższej potęgi ziemskiej; sądziłem zresztą, że najlepiej dla władców naszych, skoro panują nad ludźmi zachowującymi poglądy samoistne, aniżeli nad takimi, co zginają karki i zdania.“ Po bitwie pod Wörth cesarzewicz napisał memoryał dla księcia Bismarka; wręczył go Freytagowi do przejrzenia, a następnie zapuścił się z nim w rozmowę. A jakie stanowisko ma zająć król pruski po wojnie?— zapytywał go. Freytag dał odpowiedź wymijającą. Lecz cesarzewicz powtórzył z naciskiem zapytanie: *A czem zostać ma król pruski?* Freytag mniemał, iż zostanie on wodzem nowej rzeszy; mniejsza o tytuł, który ostatecznie zgodnie z tradycyą starożytną brzmieć by mógł: wojewoda (Herzog) niemiecki. Na to cesarzewicz, prostując się z dumą, zawołał niemal gwałtownie: „Nie, on musi zostać cesarzem!“ Zdumiony spojrzał Freytag na niego: płaszcz generalski spływał mu z ramion niby okrycie cesarskie, pierś ozdobił złotym łańcuchem Hohenzollernów. Snać — twierdzi Freytag — cesarzewicz ubranie swe zastosował do tej rozmowy. Na zarzut, że królowie niemieccy nie łatwo na to się zgodzą, odparł, że znajdzie się siła, która ich do tego zmusi. Rozwinął potem obszerniej myśl przeniesienia wszystkich godności i zaszczytów dawnych cesarzów niemieckich na królów pruskich. Wreszcie zapytał Freytaga, dlaczego nie zgadza się z jego projektami. „Dlatego — odparł Freytag — że zarówno do wojska, jak do służby cywilnej wkradnie się służalstwo, które nie było właściwem dawnej lojalności pruskiej.“ Dokładniej jeszcze cechują naturę ambicyi Fryderyka inne rysy. Pewnego razu, było to jeszcze w r. 1867, opowiadał on Freytagowi: „Kiedym podczas wystawy francuskiej był z ojcem w Paryżu, cesarz Napoleon przysłał do ojca z zapytaniem, jaki ma być przestrzegany stosunek honorów w przyjęciu pomiędzy nami a cesarzem ruskim. Ojciec mój odparł: cesarzowi należy się pierwszeństwo. Tego żaden Hohenzollern rzec nie powinien! — zakończył gwałtownie. „Ile razy mówił o swych pretensyach, okazywał się dumniejszym, aniżeli inni władcy niemieccy. O ile nie miał bezpośredniego celu wzbudzenia sympatyi, traktował ludzi według ich stopni. Szczegóły ceremoniałów dworskich zajmowały go wielce, a nową koronę i herb, wymyślony dla pary cesarzewiczowskiej, traktował jako sprawę wielce poważną. On głównie spowodował powstanie nowej godności cesarskiej, on też przy otwarciu pierwszej sesyi parlamentu niemieckiego, ku ogólnemu zdumieniu, wsunął w mowę tronową styl starych władców saskich.

I drugi jeszcze liść zrywa Freytag z wawrzynów Fryderyka. Odmawia mu zdolności wojskowych. Dlatego tylko zasłynął jako wódz, że polegał zupełnie na szefie sztabu generalnego. Pisano o nim ciągle jako o postaci bohaterskiej: stąd przywykł sam przywiązywać wiele wagi do swego zewnętrza i zazwyczaj przystosowywał wyraz twarzy i postawę do sytuacyi. Bezsprzecznie więc Freytag we wspomnieniach swych o cesarzewiczu inną poszedł drogą, aniżeli panegirycy. I możnaby podziwiać odwagę cywilną słynnego pisarza, jego prawdziwość i siłę charakteru, gdyby nie nasuwała się myśl, że wszystko to, co się wytyka Fryderykowi, schlebia Wilhelmowi, panującemu obecnie...

Nazywają niemców ludem myślicieli: a jednak wodzowie o wiele więcej zażywają u niemców popularności, aniżeli uczeni. Lud zna o wiele lepiej imiona i życie Fryderyka Wielkiego, Blüchera, Moltkego, aniżeli Kanta, Schopenhauera lub Feuerbacha. A przecież życie filozofów częstokroć głębszą zawiera mądrość i bardziej byłoby dla ludu pouczającem, aniżeli ich dzieła. Po części wina tu jest po stronie samychże filozofów, którzy z profesorską powagą odsuwali się od ludu. W rzędzie wybitniejszych myślicieli niemieckich spotykamy atoli postać, która dziś już zażywa pewnej popularności w szerszych kołach. Jest to zmarły niedawno Fryderyk Teodor Vischer. Popularność tę powiększa niezawodnie ogłoszone świeżo wspomnienie uczenicy jego, Ilzy Trapau (*Vischer-Erinnerungen*). Autorka, która w r. 1883 przeniosła się z Hamburga do Stuttgardtu, by słuchać jego wykładów, cieszyła się szczególnem jego zaufaniem; to też udało jej się zebrać obfity materyał o życiu Vischera. Życie to płynęło spokojnie, wyjąwszy krótką epokę około r. 1848, kiedy Vischer jako republikanin przesiedział czas jakiś z Uhlandem pod św. Pawłem w Frankfurcie, a następnie przenieść się musiał do Zurychu. Mimo uczoności swej, nigdy nie był mólem książkowym. Biegły w sztukach rycerskich, w podeszłym jeszcze wieku odbywał piesze wycieczki przez Alpy, chodząc nieraz dziesięć godzin z rzędu. Wybitnym jego charakterem była sympatya dla zwierząt. W pokoju jego widziano zawsze psa i kota. We Włoszech zawikłał się raz w bójkę z okrutnym furmanem, który nie chciał słuchać upomnień; tylko odwaga i zręczność ocaliły go przed pchnięciem noża włoskiego. Jaskółka była ulubionem jego zwierzęciem; kiedy na wiosnę nastawały deszcze, Vischer żałował niezliczonych jaskółek, które giną z głodu dla braku owadów. Psa swego, Xantosa, znał wybornie. Pewnego razu Xantos szczekał w pokoju sąsiednim. Vischer uśmiechnął się i rzekł: otarł się o łóżko, teraz go swędzi; szczeka na demona, który siedzi w łóżku Przyjaciel zwierząt więcej jeszcze miał uprzejmości dla ludzi; pod tym względem różnił się od Schopenhauera, którego uprzejmość i wyrozumiałość dotyczyła jedynie białego jego pudla. Vischer nie odprawiał nikogo z odwiedzających go ludzi i oceniał wszystkie przesłane mu prace. Raz tylko stracił cierpliwość, kiedy pewien fotograf wiedeński, dowiedziawszy się po zdjęciu fotografii o nazwisku jego, zawołał: Co? Pan jesteś Vischerem? Autorom Estetyki? Ależ do książki pańskiej napisałem komentarz *takiej* objętości!

Vischer wiele podróżował, a wszędzie wiele zajmował się ludem. O włoskim opowiadał zawsze z uniesieniem, chwaląc jego wspaniałomyślność. Niewyczerpany miał zasób anegdot ludowych. Jak popularnym był u ludu, a zwłaszcza w Stuttgarcie, o tem świadczy fakt następujący. W pierwszych latach po wojnie francuskiej Stuttgardt był widownią zaburzeń ludowych. Władza zamknęła ulice rzędami żołnierzy. Vischera, który wyszedł wieczorem z domu do restauracyi na wieczerzę, wstrzymano w drodze bagnetami. Wówczas w dyalekcie zaczął żołnierzom tłomaczyć, że napracowawszy się przez dzień cały, chciałby zjeść coś wieczorem. Żołnierze, spojrzawszy mu w twarz, odparli: „A, to pan — desch is wieder ebbes anders!“ i przepuścili go.

W beletrystyce niemieckiej coraz więcej pojawia się talentów, zapowiadających zdrowy rozwój literatury. W przedmowie do dramatu swego „Vor Sonnenafgang“ przytacza Gerhard Hauptmann nowele niejakiego Bjarne P. Holmsena, zebrane pod tytułem „Papa Hamlet“; im to zawdzięcza Hauptmann pobudkę do dramatu swego. Zaczęto więc dowiadywać się, kim jest ów Bjarne Holmsen, przypuszczając, iż znowu literatura niemiecka zaciągnęła dług u piśmiennictw północnych. Tymczasem okazało się, że po za skandynawskiem imieniem kryje się młody poeta niemiecki, Arno Holz, który zwrócił uwagę na siebie tomikiem wierszy realistycznych p. t. „Buch der Zeit.“ Trzy nowele, wydane obecnie przez Holza, świadczą o talencie wybitnym i o jaśniejszem zdawaniu sobie sprawy z celów i środków realizmu w poezyi. Nie odrażają one swą skrajnością, cechującą realistyczne nowele Bleibtreua, a nadto zawierają pierwiastek zdolny zdobyć najrychlej sympatye kół szerszych dla nowego kierunku: humor — nie humor dowcipnego fejletonisty, lecz ów głęboki homor satyryka prawdziwego. „Papa Hamlet,“ to tytuł pierwszej noweli, która opowiada dzieje rodziny aktorskiej, ginącej z nędzy. Niels Thienniebel, „wielki Hamlet z Trondjemu,“ zajęty Hamletem, gardzący ofertami dyrektorów scen zaułkowych, żona jego Amalia, syn Ole Nissen, malujący szyldy, i niemowlę Fortinbras, oto rodzina, z którą zapoznaje nas Holz. Pani Wachtel, u której przebywają, wypowiada im pomieszkanie, od dawna nieopłacane. Ole Nissen, który wspierał ojca, ucieka; wielki Thienniebel w rozdrażnieniu dusi krzyczącego Fortinbrasa poduszką; sam zapija się w porcie i wreszcie ginie z mrozu, usnąwszy na śniegu. Nowela ta, niezawierająca właściwie akcyi, przykuwa uwagę oryginalnym sposobem opowiadania i siłą artystycznego nastroju, jaki wywołują niektóre jej ustępy. Wadą jej jest nagłe przejście z opowiadania humorystycznego do zakończenia tragicznego. Druga, „Der erste Schultag,“ z większym jeszcze humorem i niemałą znajomością serca dziecięcego opowiada, co się przydarzyło małemu Jonatanowi, który koniecznie dostać się chciał do szkoły. Lecz i tu całość realistyczna, rozwinięta bez sztucznej akcyi, kończy się zdarzeniem większej wagi, przypadkowem i nieprawdopodobnem: wróciwszy do domu, mały Jonatan znajduje dziadka swego w dziwnym stanie — umarł podobno. Dopiero trzecia nowela, przebiegająca bez efektów, spokojna, głęboko realistyczna, stanowi właściwy postęp w nowo-realizmie niemieckim. Tytuł jej: "Zgon" (Ein Tod). Przedstawia ona noc, podczas której umiera młody człowiek, zraniony w pojedynku. U łoża jego czuwają przyjaciele. Niewyspani, zmęczeni oczekują poranka. Wtem słychać kroki na schodach: pijany sąsiad wpada przez pomyłkę do pokoju. Chory budzi się, porusza, prosi o wodę; zaczyna majaczyć, wreszcie rzuca się tak gwałtownie, że z trudnością przyjaciele go uspokajają. W podwórzu ktoś nabiera wody u studni. O szóstej przychodzi pani Brömmel w pantoflach z kawą dla chorego. Sąsiad zaczyna grać na skrzypcach. Twarz chorego zmieniła się, puls nie bije. Wtem otwierają się drzwi, przybyła matka i siostra zmarłego. Nowela ta, również pozbawiona akcyi, opisująca prosto zdarzenie, działa silniej, niż niejedna nowela Heysego o mistrzowskiej akcyi. Techni-

kę jej cechuje okoliczność, że osoby, potęgujące nastrój za pomocą kontrastu, nie stoją w związku osobistym z postacią główną; podczas gdy dawniejsi noweliści starali się przedewszystkiem o powiązanie wszystkich osób występujących węzłami stosunku bliższego, tu, bardziej na wzór życia, podnoszą grozę śmierci ludzie przypadkowo się pojawiający.

Z nowości dramatycznych pomówić dziś możemy tylko o najgłośniejszej: jest nią tragedya Marcina Greifa, „Konradin, der letzte Hohenstaufe,“ wystawiona w Monachium z powodzeniem niezwykłem. Greif, który obok poezyj lirycznych ogłosił szereg dramatów (Korfir Uhlfeldt, Nero, Marino Falieri, Prinz Eugen, Heinrich der Löwe, Die Pfalz am Rhein), zdobył sobie stanowisko wybitne w rzędzie pisarzów współczesnych. Obierając temat, opracowany już przez jednego z głośniejszych dramaturgów niemieckich, Herriga, prześcignął go wielkością stylu i zwięzłością akcyi. Trudno jednak zapoznać, że tragedya Greifa stanowi jeno proste udramatyzowanie akcyi historycznej, która pociąga w pracy historycznej, ale na scenie koniecznie wymaga pierwiastku nowego. Myśl ogólna przemawiać musi z utworu, tragiczność osnowy wystąpić musi jasno i silnie. Historya Konradyna, który bez doświadczenia, bez sił dostatecznych, bez talentu strategicznego i dyplomatycznego porwał się na zdobycie Włoch i dał głowę w Neapolu, jest co najwięcej smutną i chyba paru bezmyślnych niemców do łez pobudzić może. Trzeba było uwydatnić, że owo pragnienie zdobycia Włoch było u młodego Hohenstaufa niejako fatum odziedziczonem, potężniejszem od popędu samozachowawczego; wówczas Konradyn byłby bohaterem tragicznym w starożytnem przynajmniej pojęciu. Jednak w Monachium tragedya miała powodzenie wielkie; dano autorowi nawet order. Powodzenie Greifa przepełniło miarę gniewu i zawiści kolegów jego po piórze, co dało powód do procesu literackiego o nader wstrętnym charakterze. Pojawiły się wiersze Greifa, a nakładca Cotta, ogłosił je jako utwory „nowego klasyka niemieckiego.“ Wówczas niejaki dr. Scherer rozesłał okólnik do 50 znanych autorów z prośbą o podpisanie protestu przeciw tej reklamie księgarskiej, ubliżającej klasykom prawdziwym. Postępowanie Scherera skarcił dr. M. G. Conrad, redaktor miesięcznika *Gesellschaft* w artykule ostrym, zawierającym mnóstwo obraz osobistych. Conrad należy do kliki Bleibtreuowskiej, która reklamę, choćby bezczelną, uważa za środek dozwolony. Scherer wniósł skargę o obrazę. Rozprawa odbyła się w Monachium. Conrad odkrył agitacyę prowadzoną od lat kilku przeciw Greifowi przez autorów nieznanych, zazdroszczących mu powodzenia i nazwał pomysł Scherera, by pod płaszczykiem moralnego oburzenia zaszkodzić Greifowi u publiczności, prasy i własnego nakładcy, mistrzowską sztuczką podłości. Sąd, wychodząc z poglądu, że krytykowanie recenzentów musi być dozwolonem, skoro umysłowe życie narodu swobodnie się ma rozwijać, i że postępowanie Scherera istotnie było podstępnem i miało na celu sparaliżowanie twórczości Greifa, skazał Conrada tylko na karę 50 marek.

Ladawa.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Paweł Dembowski. — Uzasadnione prawo zasługi do szacunku publicznego. — Wspomnienia. — Rodzina nauczyciela. — Prośba pracowników sklepowych do władz o obronę przeciw wyzyskowi ich pracy. — Skamieniałość i zakamieniałość.—Objaśnienia w sprawie fundacyi Hirscha. — Potrzeba zmniejszenia rozmiarów dyabła o czwartą część. — Tumany umysłowe. — Nieświadoma praca myśli społecznej. — Bluźnierstwo przeciw Sienkiewiczowi.

Tydzień poprzedni okrył nas podwójną żałobą. Śmierć Chałubińskiego zawisła jak chmura smutku nad całem społeczeństwem, śmierć Pawła Dębowskiego przejęła szczerym żalem serca kilku pokoleń jego czcicieli. Ach, nie myślcie, ażeby to był jakiś żal prywatny, który mógłby pozostać w kole uczniów nieboszczyka. Zwłaszcza dziś ludziom jego wartości i jego zasług powinniśmy składać hołdy publiczne. Nie zszedł bowiem ze świata zwykły bakałarz, który uczył gramatyki i stawiał stopnie, lecz prawdziwy mistrz młodzieży szkolnej, jej ojciec duchowy i najzacniejszy przewodnik. Jeżeli napisanie kilkudziesięciu pospolitych artykułów lub kilku książeczek, jeżeli występy na scenie lub szczęśliwe operacye finansowe dają dostateczne prawo do upominania się o uwagę ogółu, to czyż nie lepszy wobec niej tytuł ma wieloletnia, umiejętna i uczciwa praca nad wychowywaniem i kształceniem dojrzewających ludzi? Czyż my jeszcze nie rozumiemy wielkiego znaczenia i wpływu takiej pracy? Byłoby to bardzo dziwnem. Powieściopisarze czarują wyobraźnię naszą ideałami szlachetnych i rozumnych nauczycieli. Często jednak daremnie szukamy w życiu tych postaci z poezyi. Gdzie one są? — pytało wielu i nie znalazło odpowiedzi. A przecież czasem zdarza się spotkać takie wcielenie idealnego wzoru, jakie właśnie przedstawiał Dembowski. Dziwny to był człowiek! Nigdy nie uśmiechnął się w szkole — a był przez uczniów kochany; nigdy nie krzyczał i nie karał, a był bardziej słuchany, niż najsurowszy pogromca. Chociaż stał ciągle blizko nich — oni widzieli go gdzieś daleko i wysoko. Darzyli go zarówno miłością i bojaźnią. Nawet wtedy, kiedy podnieceni ogólnem wrzeniem, zerwali wszystkie pęta karności, kiedy nie dali się uśmierzyć ani namową, ani prośbą, kiedy najmocniejsze cugle pękały w rękach kierowników, kiedy zbuntowane dzieci znieważały każdą powagę i pluły w źródła nauki, on jeden kilkoma słowy uśmierzał najszaleńsze ich wybuchy i w niezmąconym spokoju wykładał — historyę. I nie było tak gorączkującego dnia, w którymby się nie nauczono lekcyi dla Dembowskiego. Wszyscy pracowali z taką zapamiętałością, że aż inni nauczyciele skarżyli się na to pochłanianie czasu, sił i uwagi naszej jednym przedmiotem. Przy końcu każdego wykładu Dembowski mówił:

— Gorsi przygotują się według Skrzypińskiego, lepsi dopełnią go sobie Poplińskim, a najpilniejszym zostawię mój kurs pisany.

Na następną lekcyę wszyscy byli „najpilniejsi“ i wyuczyli się według „kursu pisanego.“ Dzięki temu zapałowi, który udzielał się nawet ostatnim w klasie, bywali tacy, którzy w cenzurach kwartalnych, od religii do rysunków, mieli złe stopnie, a z historyi „celujący.“

Nabytki wiedzy gimnazyalnej tak się zmieszały z późniejszymi, że żaden z uczniów Dembowskiego nie umiałby ściśle oznaczyć, co mu winien. Ale każdy czuł, że mu winien bardzo wiele, każdy nosił w swem sercu niegasnącą dla niego wdzięczność i głęboki szacunek. Niektórzy z jego uczniów zajęli w społeczeństwie bardzo wydatne stanowiska, ale nawet ze swych wyżyn widzieli i czcili go szczerze. Gdy umarł, poszli za jego trumną jak rodzina, złożyli go do grobu jak najbliżsi krewni. Nie był ojcem, a jednak w uczniach swych miał dzieci, które go kochały i które może są najzaszczytniejszem rodzeństwem dla nauczyciela.

Ale otrzyjmy oczy z łez i z cmentarza przejdźmy do życia, które nam przypomina swoje obowiązki i potrzeby. Chociaż Galileusze, broniący pracę od wyzysku, muszą nieraz wyprzysięgać się swoich teoryj, sama jednak sprawa, jak ziemia, ciągle się porusza. Idea, która jest jej duszą, przenika nawet te żywioły, które wydają się zbyt dla niej ciemne lub zbyt twarde. Nie będę tu szczegółowo przypominał znanych jej przejawów w prawie fabrycznem, w ograniczeniu zajęć dzieci, w rozmaitych instytucyach dobroczynnych; zaznaczę tylko fakt świeży, którego niepodobna ominąć, tembardziej, że tkwiąca w nim słuszność nie znalazła jeszcze dostatecznej opieki. Mianowicie subjekci, buchhalterzy i korespodenci żydowscy wnieśli prośbę naprzód do p. Prezydenta, a następnie do p. Oberpolicmajstra, w której błagają o wyzwolenie ich z ciężkiej niewoli. Podczas bowiem gdy równorzędni oficyaliści firm chrześciańskich pracują tylko od 8 rano do 8 wieczorem, ci muszą pozostawać w sklepach do północy, czyli oddawać swym pryncypałom około 20 godzin z każdego dnia. Rzeczywiście jest to nielitościwy wyzysk pracy, który wydziera swe ofiary rodzinom, odbiera im możność odpoczynku, rozrywki i wszelkiego życia po za robotą obowiązkową. Porę zamykania sklepów oznacza u nas nie prawo, lecz zwyczaj, który wybrał sobie godzinę 8 wieczorem. Nie zastosowała się do niej jednak znaczna część kupców żydowskich, którzy nie chcą zrzec się bodaj drobnych zarobków od nabywców zapóźnionych. Otóż murzyni ich proszą władzy, ażeby ta nakazała przymusowe zamykanie sklepów według ustalonego zwyczaju. Ich żądanie podziela nawet wielu sumienniejszych i poważniejszych chlebodawców, którzy dziś nie mogą mu zadośćuczynić skutkiem oporu innych, współzawodniczących z nimi. Skoro tylko ofiary wyzysku raz uświadomiły sobie swoją krzywdę, niewątpliwie prędzej czy później będzie ona usuniętą. Skazywać człowieka na 20 godzin roboty codziennej, zabrać mu wszystek czas od snu wolny, ogołocić go nawet z możności przepędzenia krótkich chwil z rodziną, zamienić go na maszynę handlową — to byłoby zbyt surowem na karę, a cóż dopiero na wynajem pracy! Taka skamieniałość społeczna i zakamieniałość moralna nie może już przechowywać się długo w łonie naszego czasu, niszczącego zabytki okrucieństwa.

W wir walki między kilku pismami naszej prasy o fundacyę Hirszowską dla Galicyi, *Gazeta polska* rzuciła garść objaśnień, pod wpływem których spór powinien oczyścić się nieco z mętów. Donosi ona, że długo przeciągany układ w tej sprawie z rządem austryackim doszedł do końca. Statut zastrzega bardzo szeroki udział władz naczelnych państwa i miejscowo - krajowych w rozporządzeniach i czynnościach kuratoryi fundacyjnej oraz w wytworzonych przez nią zakładach. W kuratoryi głównej zasiadać będzie członek z ramienia rządu, a przytem osobny komisarz czuwać ma nad rzetelnem i ścisłem stosowaniem ustawy. Przy każdym miejscowym komitecie wychowawczym istnieć ma również nadzorca, mianowany przez namiestnika. W szkołach i wszelkich zakładach fundacyi językiem wykładowym ma być polski. Ustrój tej kontroli i mechanizm działań zapewniają władzom państwowym i krajowym wpływ na użytkowanie z funduszów. Wreszcie statut orzeka, że do kuratoryi będą także należeli członkowie chrześciańscy, a czwarta część wychowańców winna być rekrutowaną z ubogich warstw miejscowej ludności chrześciańskiej.

Ponieważ procent tego ostatniego żywiołu odpowiada 3 milionom kapitału fundacyjnego, więc dalszy spór semicko-antisemicki powinien się toczyć już tylko o 9 milionów żydowskiej manny złotej. Ale i nad $^{3}/_{4}$ częściami tej manny chrześcianie będą posiadali nadzór, a nawet przywilej języka.

Wobec tedy warunków i zastrzeżeń statutu na korzyść tych, którzy mieli zginąć pod deszczem guldenowym Hirscha, należałoby wprowadzić pewne zmiany i poprawki do rachunku niebezpieczeństwa i oznaczyć ściślej, ile właściwie milionów złotych reńskich zagraża Galicyi „zżydzeniem.“ Bo i po co strwożeni ludzie mają drżeć przed większym dyablem, niż rzeczywisty? Trzeba koniecznie dawnego przemalować, gdyż okazuje się za duży, za wiele ma zębów w swych widłach. Co najmniej czwartą ich część należy odłamać.

Nie myślę bynajmniej temi uwagami przekreślać historyczno-społecznego rachunku, dopełnianego obecnie przez kilka pism w kwestyi żydowskiej; wiem bowiem, że niema ani tak wielkiej siły umysłowej, ani tak przekonywającego argumentu, któryby uciszył ten gwarek i furę naładowaną żydami wyprowadził raz w prasie naszej na prostą drogę. Chciałbym tylko zaznaczyć pewien objaw, który występuje nie w tym jednym wypadku, a rzadko wchodzi w dziedzinę ogólnej świadomości. Mianowicie wielu ludziom zdaje się, że gdy urządzą obławę na jakiś gatunek społeczny, to *oni* istotnie dostrzegli gromadę szkodników, których trzeba wytępić. Innemi słowy: zdaje im się, że występują samodzielnie i niezależnie, że sami uczuli potrzebę i dostrzegli cel tego ruchu, który ich roznamiętnia i fanatyzuje. Tak sądzą i wierzą. Tymczasem najczęściej są oni jedynie tumanem kurzu, oderwanych liści i zeschłych gałęzi, które całkiem od nich niezależny wicher zmiata i unosi. Gdyby te liście i gałęzie posiadały świadomość, z pewnością mniemałyby, że tak podskakują i biegną z własnej woli i ku własnym celom. Przez społeczeństwa przelatują również gwałtowne wichry, potężne prądy, które porywają z sobą całe gromady ludzi niezdolnych im oprzeć się, nad ich siłą zapanować. Dopóki nie odezwała się trąbka Bismarkowska, niemcom poznańskim nie śniło się urządzać polityczne naganki, ani myśleli za „wrogami państwa“ puszczać ogarów i jamników. Dziś, gdy zabrzmiało potężnym głosem okrzyknięte hasło „ausrotten“ — polowanie nie ustaje, a każdy z jego uczestników sądzi, że to on sam wykrył owych „wrogów“ i tępi ich z własnej pobudki. Podobnie dzieje się w innych stosunkach. Temu i owemu zdaje się, że on sam dojrzał niebezpieczeństwo grożące ze strony żydów, że zauważył nowe objawy, które go pobudziły do szarpnięcia za sznur dzwonu alarmowego; tymczasem on niczego nie dojrzał, żadnych nowych objawów nie zauważył, tylko poddał się szerokiemu i mocnemu prądowi. Zabrał go i niesie spieniony w wylewie potok, a biedny powodzianin mniema, że płynie jego łożyskiem z własnej woli. Bardzo często nie ma on z tym potokiem nic wspólnego, wstrętne mu są jego źródła, a przecież pędzi na jego falach jak wiór bezwładny. Daremne byłyby wysiłki uświadomienia mu tej uległości prądowi, który nie wytrysnął z własnej jego myśli i serca; pozostanie tak przekonanym o swej oryginalności, jak wierzy, że skacze z płotu na ziemię dzięki własnemu ruchowi, a nie sile ciążenia. Nietylko w nauce, lecz również i w życiu jednostki potężne albo tylko przewodniczące gromadom narzucają im pewne kategorye myślenia praktycznego. Jak przy rozważaniu przemiany gatunków zwierzęcych lub przyczyny chorób zaraźliwych nie możemy wyzwolić się z teoryi rozwojowej lub bakteryologicznej, tak samo przy rozwiązywaniu spraw społecznych nie możemy wydobyć się z teoryi pierwiastków pożytecznych i szkodliwych. Za rok, dwa, dziesięć, gdy znowu inna ręka zweksluje myśli w innym kierunku, obecni antisemici będą pisali ody do „braterstwa“ i rozdawali całusy na Nalewkach.

Toż samo zjawisko powtórzyło się i w naszej literaturze. Gdy kilku jej magów ukłękło przed Sienkiewiczem, przez czas pewien żyliśmy w Sienkiewiczu. Zbladły nam lub zgasły najpiękniejsze gwiazdy twórczości polskiej przy tem słońcu, świecącem promieniami Homera, Shakespeare'a, Dantego i Mickiewicza. Do takiego stopnia bałwochwalstwo oślepiło jego czcicieli, że gdy napisał bardzo mierną powiastkę „Ta trzecia,“ która była raczej wesołą kpiną, sznurkiem zwitym z konceptów, niż utworem artystycznym, i w niej widziano arcydzieło. Sienkiewicz bowiem nic innego urodzić nie mógł. Nareszcie wyszedł w Krakowie nowy tom obrazków tego autora, o których jedno z pism tamtejszych powiada: „Spotykamy pewne skoki, świadczące, że talent jest nie zawsze do twórczości usposobiony; powstają stąd prace słabsze, nieposuwające autora wyżej... Uderza (w tym tomie) monotonia dziwna“ — itd.

A to co? Bluźnierstwo, odszczepieństwo od prawomyślności widoczne. Czyżby zahypnotyzowany przez p. Sienkiewicza rozum naszej krytyki zaczął odzyskiwać przytomność? E, nie; nastąpi to kiedyś, ale znacznie później...

Poseł Prawdy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Szkoły. Ministeryum oświaty zażądało od dyrektorów średnich zakładów naukowych listy podręczników, według których prowadzone są wykłady. Żądanie to pozostaje w związku ze skargami rodziców na nieustanne zmiany podręczników w gimnazyach, co pociąga za sobą znaczne koszty. Nauczyciele zaś na swoją obronę twierdzą, iż zmuszeni są w celu ujednostajnienia wykładu zalecać nowe podręczniki, ponieważ autorowie ich przy każdem świeżem wydaniu wprowadzają wielkie zmiany. Ministeryum postanowiło wydać odpowiednie przepisy, mające zapobiedz tym niedogodnościom.

— Ustawy dla rozmaitego typu szkół przemysłowych zostały już przez ministeryum oświecenia opracowane i wydrukowane.

— Rada nadzorcza szkoły górniczej w Dąbrowie uchwaliła, iż każdy z kandydatów przy egzaminie musi wykazać znajomość języka ruskiego i matematyki w zakresie dwuklasowych szkół elementarnych wiejskich. W pierwszym roku otwarta będzie tylko klasa pierwsza, do której z 87 kandydatów zostanie przyjętych tylko 35. Lekcye rozpoczną się 27 b. m.

— W Sosnowicach otwarto szkołę rzemieślniczą, założoną kosztem przemysłowca Dietla.

— Przekształcenie instytutu w Nowej Aleksandryi (Puławach) na Akademię rolniczą o 4 kursach nastąpi 31 stycznia 1890 r.

— Szkoła buchhalteryjna powstaje w Warszawie.

— W budżecie ministeryum oświaty na rok przyszły wprowadzono pozycyę wydatków na „estetyczne wykształcenie“ w różnych zakładach naukowych.

— Na uniwersytet finlandzki w Helsingforsie uczęszcza 1837 studentów, w tej liczbie 17 kobiet.

— W 31 średnich szkołach w Galicyi znajduje się 2,264 żydów, to jest przeszło 20% wszystkich uczących się.

— Szkołę przemysłową w Krakowie zamknięto z powodu zatargów między uczniami wyższych klas a prof. chemii, Gustawiczem.

— W Lucernie otwarto szkołę organistów.

— Praktyczną szkołę rolniczą otwarto w Chesnoy pod Montagris. Szkół takich we Francyi jest kilkanaście, służą zaś do kształcenia agronomów, mogących samodzielnie kierować kulturą majątku.

— Na uniwersytet krakowski zapisało się w bieżącem półroczu 1,225 słuchaczów.

— Wyborcy szkoccy domagają się bezpłatnego nauczania we wszystkich zakładach naukowych, z wyjątkiem uniwersytetów. Niektórzy żądają, aby państwo dostarczyło książek szkolnych i innych przedmiotów.

Wiadomości administracyjne. Przy zarządzie warszawskiego general-gubernatora ma być utworzona komisya specyalna dla zreformowania podatków gminnych.

— W departamencie obcych wyznań przystąpiono do rozpatrzenia projektu zreformowania organizacyi nadzoru nad kościołami katolickimi.

— Ministerya spraw wewnętrznych i skarbu opracowują nowe przepisy, mające na celu obostrzenie wizowania paszportów żydów zagranicznych, przybywających do Rosyi. Wymaganem będzie także wyjawienie celu podróży. Od nowych obostrzeń zwolnieni tylko będą przedstawiciele wybitnych firm handlowych i znaczniejsi przemysłowcy. Przepisy te mają na celu zabezpieczenie się od napływu żydów niefachowych. Odpowiednie rozporządzenia dostaną konsulaty zagraniczne i komory celne.

— Ministeryum spraw wewnętrznych postanowiło zbierać szczegółowe wiadomości o włościanach galicyjskich, osiadających jako koloniści albo przychodzących na zarobki do Królestwa Polskiego.

— Najwyżej rozkazano w tych okręgach, gdzie ustanowione są rady adwokatów przysięgłych, wstrzymać czasowo otwieranie tych rad.

Subskrypcya na premiowe listy zastawne Banku szlacheckiego dosięgła *półtrzecia miliarda rubli.* Pojedynczych listów zażądano 450 tysięcy sztuk. Przy dalszej repartycyi żądania drobnych kapitalistów będą zaspokojone w wyższym stosunku, niż zapisy na wielkie sumy. (*Now. Wr.*).

Dzienniki petersburskie piszą: „W ostatnich czasach w wielu miejscowościach kraju północno-zachodniego krążyć zaczęły w sprzedaży wyroby tytoniowe z etykietami, mającemi różne napisy polskie, pomimo zakazu na mocy ustawy. Skutkiem tego minister skarbu uznał za konieczne, iżby wszelkie fabryki wyrobów tytoniowych, po za Królestwem istniejące, nie wypuszczały na sprzedaż wyrobów o etykietach z napisami polskimi. Fabryki, które dla łatwiejszego zbytu swych wyrobów w Królestwie Polskiem uznawałyby za konieczne posiadać takie etykiety, składać powinny stosowne deklaracye w ministeryum spraw wewnętrznych, dołączając wzór etykiet, na których po polsku nie może być wydrukowane nic więcej, jak wymienienie wagi i ceny, nazwisko fabrykanta i miejsce, gdzie fabryka istnieje.

Wystawy. Belgijska wystawa sztuki i przemysłu odbędzie się w Londynie w 1890 r.

— Przed wiosną r. p. otwartą będzie w Petersburgu pierwsza w Rosyi wystawa zabawek. Przyjmowanie deklaracyj trwać będzie od 15 b. m. do 1 stycznia. Osoby, niemające możności dostawienia i wystawienia okazów swoim kosztem, wchodzą w oddzielne porozumienie z komitetem. Wystawcy korzystają z bezpłatnego pomieszczenia.

— W Buda-Peszcie z wiosną r. p. otwarta będzie wystawa prac fotografów-amatorów.

— W Bostonie d. 4 b. m. otwarto wystawę okrętową.

— W Metz urządzono wystawę starożytności lotaryńskich.

— W warszawskiem Muzeum przemysłu i rolnictwa otwarto wystawę starożytności.

Zjazdy. W d. 11 b. m. zamknięto w Petersburgu zjazd farmaceutów. Rozstrzygnięto najważniejszą sprawę podniesienia poziomu teoretycznej i praktycznej wiedzy farmaceutów.

— W Metz odbyły się obrady ogólnego wydziału wszystkich stowarzyszeń historycznych i archeologicznych w Niemczech.

Konkursy. W Petersburgu ogłoszono konkurs na dzieło popularne o syfilisie i środkach zapobiegawczych. Za najlepszą pracę nagroda 1,500 rs., za drugą — 1,000, za trzecią — 500.

— Tow. pomocy słuchaczów wyższej szkoły rolniczej w Dublanach ogłasza „Konkurs im. dr. Juliusza Au'a“ na napisanie dla włościan dziełka treści ekonomicznej, dotyczącej bądź spółek rolnych, bądź banków włościańskich, lub też wszelkiego rodzaju stowarzyszeń, mogących bezpośrednio przynieść korzyść ludowi wiejskiemu. Warunki: 1) dziełko ma być napisane w języku literackim, przystępnym dla ludu; 2) objętość druku 3—5 arkuszy; 3) termin nadsyłania do 1 maja r. p.; 4) nagroda 100 zlr. Wydawnictwo nagrodzonej broszury jest własnością autora, z tem zastrzeżeniem, że jeśli po trzech miesiącach nie będzie wydrukowana, przechodzi na własność Towarzystwa.

Sprawy kolejowe. Ministeryum komunikacyi znowu poruszyło sprawę ograniczenia liczby biletów bezpłatnych na kolejach żelaznych.

— Nowa pożyczka 4% będzie wypuszczoną na sumę 100 milionów w złocie i zostanie obróconą na budowę kilku kolei strategicznych. Nowa pożyczka ma być wypuszczona w konsolidach 4%, wolnych od wszelkich podatków teraźniejszych i przyszłych. Podpisy przyjmowane będą wyłącznie w Rosyi.

— Koleje Południowo - Zachodnie otrzymały od Banku państwa kredyt dwumilionowy na zaliczenia zbożowe. Kredyt ten okazał się za małym. Towarzystwo więc zwróciło się do petersburskiego Banku handlowego, który przyznał 1,500,000 rs.

Nowe Towarzystwo. W ministeryum spraw wewnętrznych złożono projekt nowego Towarzystwa akcyjnego, które ma na celu udzielanie pożyczek na zastaw fabryk wraz z maszynami. Kapitał zakładowy nowego banku obliczono na 5 mil. rs.

Koncerty. D. 17 b. m. odbędzie się w Warszawie koncert na rzecz niezamożnych studentów, zaś d. 8 grudnia koncert kompozytorski Zygmunta Noskowskiego.

— P. Kochańska zapowiada występy koncertowe.

Wynalazki. Laënner, jak wiadomo, wynalazł stethoskop, czyli przyrząd do auskultacyi chorych. Obecnie przyrząd ten tak dalece udoskonalono, że za jego pomocą można dokonać obsłuchania z pewnej odległości. Przyrząd ten nazwano „stethofonem."

— Bruk kauczukowy, wynaleziony przez jednego z inżenierów niemieckich, okazał się podobno w praktyce wybornym. W Hanowerze dał on rezultaty znakomite; jest równie trwały, jak kamienny i nie ulega wpływom atmosferycznym.

Dla dzieci. Znany nakładca pedagogiczny, p. A. J. Wiśniakowski, rozpoczął wydawanie zeszytami „Kolorowanych tablic poglądowych do nauki o rzeczach" z objaśnieniami p. A. Dygasińskiego. Dotąd wyszedł zeszyt I, a ma ich być 47. Całość opłacona z góry kosztuje rs. 16.

Literatura. Dzieło Ernesta Renana p. t. *Przyszłość nauki.* ukaże się w styczniu r. p.

Zmarli. Antoni Ziemięcki, artysta malarz ur. 1806 r.

— Jakób Stanowski, w Poznaniu, b. profesor wyższej szkoły rolniczej im. Haliny w Żabikowie. Specyalnością jego były nauki weteranaryjne. Umieszczał liczne swe prace w *Ziemianinie*, *Gazecie rolniczej* i *Encyklopedyi rolniczej*.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

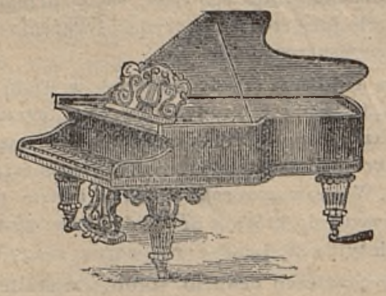
Fan. Wiel. 1) Czy podobna ciągle uwijać się z miotłą i wygarniać wszystkie śmiecie? 2) w jakim języku? Objaśnia artykuł Kozłowskiego w nr. 44 *Prawdy*.

T-or. Jak tytuł wskazuje — *wybór*.

Panu S. Sz. w Dorpacie. Najlepszą historyą filozofii jest Ueberwega *Grundriss der Geschichte der Philosophie*.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu przechowuje.

Ogłoszenia.



Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłano jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na poczte zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 3 Ноября 1889 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.